Nr. 2. Warszawa, dnia 10 Stycznia 1891 r. (29 Grudnia 1890 r.) Rok XI.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY“**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10

**Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.**
**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



Z powodu trudności technicznych wydanie **Encyklopedyi dla dzieci** uległo małemu opóźnieniu. Druk wszakże tej książki zbliża się ku końcowi i niedługo będzie ona rozesłaną tym, którzy ją opłacili. O wyrozumiałość prosimy.

---

## POLITYKA.

### POLITYKA CHORYCH RACIC.

Polityka może szarpać i ranić wszystkie nerwy i będzie sławioną przez zwycięzców w „naturalnym doborze“ najlepszego ze światów, aby tylko pozostawiła nietkniętym najczulszy ze wszystkich *nervus rerum*. O wtedy sępy gotowe przybrać naturę gołębi i wydawać żałosne głosy czajek. Gdy Bismark wyganiał ze wschodnich prowincyj Prus 30,000 niewinnych ludzi za to tylko, że byli polakami, i zamknął dla nich granicę, oklaskiwali ten „czyn narodowy“ najzapamiętalej konserwatyści, rekrutujący się przeważnie z obywateli ziemskich. Ale po kilku latach zjawiła się złośliwa Nemezys i wywołała brak rąk roboczych. Dla utrzymania się w logice „czynu narodowego“ zaczęto rozmyślać nad sprowadzeniem... chińczyków, ale koncept ten po rozwadze okazał się śmiesznym i niedorzecznym. Wówczas ci sami stróże „państwa, bojaźni bożej i dobrych obyczajów,“ którzy jako chór w tragedyi gwałtu sławili swego Herkulesa za oczyszczenie stajni Augiaszowej i urwanie łba hydrze polskiej, zwrócili się do rządu z błagalną prośbą, ażeby nie otwierając na oścież, uchylił przynajmniej wrót granicznych dla przepuszczenia robotników polskich na „krótki pobyt.“ Prośba ta spowodowała częściowo odwołanie edyktu wygnańczego, które dosłownie tak brzmi w *Reichsanzeigerze*:

„W najnowszych czasach dochodziły coraz częściej ze sfer rolniczych i przemysłowych prowincyj wschodnich skargi na coraz większy brak sił roboczych. Z przeprowadzonych w tym kierunku badań okazało się, że przyczyny owych skarg szukać należy: naprzód w wychodztwie rodzin robotniczych, a powtóre w tem, że corocznie z wiosną, aż do jesieni, robotnicy ze wschodnich prowincyj udają się w znacznej liczbie ku zachodowi, aby tam jako t. zw. *Sachsengangerzy* szukać sobie korzystniejszego zarobku, którego im chlebodawcy w kraju rodzinnym dać nie mogą. Ponieważ nadto okazało się, iż brak robotnika wystąpił na większą skalę dopiero wtenczas, gdy wschodnia granica zupełnie dla obcokrajowców została zamknięta, przeto wzięto pod rozwagę, czyby nie należało mniej surowo stosować przepisów wydanych w sprawie zamknięcia granicy i czyby nie należało zezwolić, aby jak dawniej robotnicy zagraniczni mogli zapełniać braki powstałe przez przeniesienie się robotników krajowych do Saksonii i tym sposobem ubytek sił roboczych zastąpić.

Dla skonstatowania, jak daleko w tym kierunku, bez szkody dla interesów państwowych pójść można, upoważnił minister spraw wewnętrznych rozporządzeniem z d. 26 listopada r. z. naczelnych prezesów prowincyj odnośnych, tymczasowo na przeciąg lat trzech do udzielania (z uwzględnieniem stosunków i potrzeb miejscowych) pozwoleń na pobyt robotników z Królestwa Polskiego i Galicyi, celem zatrudnienia ich w przedsiębiorstwach rolniczych i przemysłowych i do wydania potrzebnych ku temu rozporządzeń.

W rozporządzeniach tych wychodzić atoli należy z założenia, że idzie tu jedynie o wpuszczenie do kraju „robotników“ wiejskich i przemysłowych, a przedewszystkiem osób samotnych obojga płci, że natomiast rodzinom z dziećmi ma być dozwolony pobyt tylko wyjątkowo, o ile tego wymagać będą stosunki.

Ze względu na to, że t. zw. *Sachsengangerzy* zwykle tylko od wiosny do jesieni zdala od swego kraju pracują, należy również mieć baczność na to, aby robotnicy zagraniczni w porze po za okresem pracy pobytu swego w kraju nie przedłużali.“

Jak widzimy, jest to ta sama polityka, co względem trzody chlewnej. Gdy Prusy potrzebują wieprzowiny, wszystkie świnie za ich wschodnią granicą są zdrowe i mogą przebywać granicę; ale gdy wieprzowiny jest dosyć, natychmiast w Królestwie polskiem zjawia się choroba pyska i racic. Obecnie więc robotnik polski według weterynarzów polityki pruskiej ma racice zdrowe. Trudno o większą poniewierkę godności ludzkiej, i zaiste trzebaby się w rozwoju cywilizacyi cofnąć daleko wstecz, ażeby znaleźć taki stan moralności, któryby uprawniał tego rodzaju postępowanie. Jawnie, bez osłonek i skrupułów, bez przebierania rzeczy w szlachetne pozory, państwo ogłasza pewien gatunek ludzi za wyzuty z praw, za paryasów, za istoty tak prześladowane, jak zwierzęta drapieżne, i jednocześnie to samo państwo pozwala owym wyrzutkom wkraczać w swój obręb dla wyzyskania ich siły roboczej. Wzgarda łączy się tu z cynizmem, okrucieństwo z bezwstydem.

Niestety, procesy ekonomiczne rozstrzygają się w instancyach ekonomicznych. Jeżeli tedy w naszym nadgranicznym pasie zachodnim są ręce bezczynne i zarobku łaknące, pójdą po chleb do Prus, chociażby później, skoro pracę ukończą i staną się niepotrzebne, wypędzone być miały. Gdyby wszakże tak ułożyły się stosunki kraju, że w nich wszystkie ręce robocze mogłyby być zużytkowane, gdyby ludność nasza nie skorzystała z uchylonych drzwi granicy pruskiej, uważalibyśmy to za najszczęśliwszy wypadek i odpowiedź na politykę chorych racic. Polityka ta bowiem, obrażająca w zastosowaniu do trzody chlewnej i bydła, jest stokroć ohydniejszą w odniesieniu do ludzi, których stawia na jednym poziomie ze zwierzętami. Tam chodzi o mięso wieprzowe i wołowe, tu o mięso ludzkie, chwilowo pożądane lub niepożądane. Doprawdy dziwić się można, że rząd pruski w Toruniu i Katowicach nie ustanowił, jak dla świń, stacyj nadzorczych, któreby kontrolowały, czy przybywające gromady robotników naszych nie rozszerzą choroby *Reichsfeind*owstwa.

---

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bismark za pośrednictwem swej „rury do mówienia“ — *Hamburg. Nachrichten*, usiłuje naśladować Richtera. Jak słynny przywódca postępowców i jego zajadły wróg ganił systematycznie wszystko, co wyszło z głowy b. kanclerza, tak ten ostatni krytykuje każdy krok rządu obecnego. Zamieniono Zanzibar na Helgoland — źle, toczą się układy celne z Austryą — źle, cesarz chce zreformować szkoły — źle, gotów powrócić księżom skonfiskowane fundusze (t. zw. „obroczne“) — źle itd. Świeży wylew niezadowoleń księcia na Lauenburgu łatwo objaśnić sobie można psychologicznie. Po pierwszych wybuchach, kiedy niemal cała opinia publiczna zwróciła się przeciw niemu z wyrzutami, umilkł. Ale spostrzegłszy, że coraz bardziej tonie w zapomnieniu, targnął się znowu i chce wypłynąć na wierzch. Wielbiciele pragną umiarkować go dowodzeniem, że „naraża swoje stanowisko w historyi,“ ale on broni się przeciw temu, ażeby go już dziś umieszczono w jej archiwum.

Jeżeli nie prawdziwe, to dość prawdopodobne są objaśnienia francuskiego korespondenta *Timesa* dymisyi Bismarka. Była ona niezbędną i wymuszoną, bardzo wymuszoną. „W ostatnich czasach swojej potęgi — opowiada Blowitz — Bismark stał się przeszkodą, przykrością, powodem irytacyi dla wszystkich, trudnością nieustanną w biegu spraw publicznych. Nie widywał się zupełnie z członkami gabinetu, którego był prezesem; nie zważał wcale na ich przedstawienia, a wysłuchawszy ich z miną roztargnioną, wydawał rozkazy stanowcze, jak gdyby oni nic nie powiedzieli. Nadzwyczaj rzadko się ukazywał; przyjmował tylko tych, których jego fantazya wzywała do niego. Nie znosił żadnych uwag i z uśmiechem pobłażliwym słuchał myśli, jakie mu wykładał jego młody monarcha, z góry je potępiając. Uskarżał się gorzko, jak tylko powzięto najmniejsze postanowienie bez zasięgnięcia jego rady i twierdził, że upada pod ciężarem pracy, gdy mu przysłano dokumenty do podpisu. Stał się istnym postrachem wszystkich tych, którzy musieli zbliżać się do niego. Nikt nie śmiał mu się sprzeciwić a sam Wilhelm II rzadko się z nim znosił, już dla tego, że nie chciał mu przeszkadzać, już dla tego, że go drażniła postawa, jaką zachowywał względem niego. Nareszcie sprzeczka wybuchła z powodu kwestyi prawie drugorzędnej; niezadowolenie cesarza, długo hamowane, przebrało miarę. Kanclerz, zaskoczony niespodzianie, stropił się i rzekł nagle: „W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak prosić Waszą Cesarską Mość o dymisyę.“ Cesarz nic nie odpowiedział; książę Bismark wyszedł.“

Kilkaktotnie posyłał monarcha swego adjutenta po dymisyę piśmienną; kanclerz, który nie oczekiwał takiego nacisku, był zgnębiony, złamany, zwlekał. Nareszcie oświadczył, że napisze podanie, ale wprzódy musi złożyć pewną wizytę. Ta wizyta — trudno uwierzyć! — dotyczyła cesarzowej Fryderykowej. Bismark pojechał do niej. „Ogłuszony swoim upadkiem — mówi Blonitz — człowiek ten, który wczoraj jeszcze był wielkim kanclerzem, poszedł uniżyć się przed tą, którą tylokrotnie sam poniżył. Przedstawił jej niebezpieczeństwo, na jakie narażone zostaje cesarstwo niemieckie przez jego upadek: zgubne następstwa, na jakie się naraża młody cesarz, obalając założyciela cesarstwa. Błagał ją, aby się wstawiła do syna, aby oszczędziła klęski Niemcom, zgryzot monarsze i niezasłużonych upokorzeń jego najwierniejszemu słudze.“

Cesarzowa wysłuchała do końca, wreszcie z ironią i pogardą rzekła: „Żałuję bardzo, że mnie uczyniono bezsilną; byłabym bardzo szczęśliwą, gdybym mogła wstawić się za panem do mego syna. Ale pan użyłeś całej swojej w[illegible]y i całego swego wpływu, aby odwrócić ode mnie serce mego syna i umyśł jego uczynić obcym mojemu, tak, że dziś cała moja bezsilność spada na pana; mogę więc tylko stwierdzić pański upadek, nie mogąc go odwlec ani na chwilę. Gdy pana nie będzie, mój syn może się zbliży do mnie, ale wtedy już będzie zapóźno, żebym panu przyszła z pomocą.“

Książę, zgnębiony temi słowy, z głową zwieszoną, wycofał się tyłem.

Było to 20 marca. Gdy wrócił do siebie, zastał adjutanta cesarskiego, który po raz trzeci przybył po jego dymisyę. Tym razem wręczył mu ją.“

Posłowie irlandzcy odbyły dwie konferencye na gruncie francuskim, ale rezultat tych narad dotąd niewiadomy i prawdopodobnie niepomyślny. Parnell upiera się na swem stanowisku, to znaczy przy sterze.

Wybory do senatu francuskiego dały nowe zdobycze republikanom. Tylko sześciu monarchistów ocalało, dziesięciu straciło mandaty.

W łonie rządu serbskiego wybuchły nieznaski, które wymagać będzie częściowych zmian w jego składzie. Powodem miała być waśń między rodzicami króla.

W roku przeszłym świętopietrze wpłynęło skąpiej do kas watykańskich, niż zwykle. Dla pokrycia niedoboru papież opodatkował zwiedzających muzea Watykanu po lirze od głowy. Prasa włoska widzi w tem rozporządzeniu naruszenie ustawy gwarancyjnej.

## BADANIA NAUKOWE.

### ZATARGI KIERUNKÓW SKRAJNYCH

**w publicystyce polskiej ostatniej ćwierci w. XVIII.**

II.

Koryfeuszów wieku, który przyprawił zakon jezuicki o upadek, Łuskina bezcześcił. „To było Woltera, zdaniem Łuskiny, największe nieszczęście, iż on niebardzo rozeznawał między religią ewangieliczną i między religią, przez ludzi popsowaną, podciągając wszystko równie pod fanatyzm. Stał się przeto jednym z najstraszniejszych nieprzyjacielem chrześciaństwa, a to i przez ową zbyteczną swą tolerancyę. Co na oko nam pokazuje, jak trzeba się wystrzegać cienia nawet owych cnót naturalnych tylko, czyli jedynie ludzkich“ [1]). Z okazyi śmierci i pogrzebu jego niestworzone Łuskina drukował brednie. Zawiadamiał, że Wolter, konając, jadł łajno: „wzgardził ten wielki

[1] Gazeta warszawska z 12 grudnia r. 1778.

2)

## ZROZPACZONY

Elizę Orzeszkową.

Musiałem mu z jadalnego pokoju przynieść dębowe krzesełko, na którego rzeźbę zezem spojrzał, ale siadł i wąsa kręcąc — dawaj morały prawić! Nie chce mi się nawet i w myśli powtarzać tego, co on prawił. Najważniejszym jego argumentem było: „niczem jeszcze nie zasłużyłeś na prawo i możność dogodzenia swoim zachciankom.“ I w żaden sposób w ciasną tę mózgownicę wbić nie mogłem, że jakie takie piękno w otoczeniu nie jest żadną zachcianką, ale konieczną, nieprzepartą potrzebą mojej natury. „No, no — mówił — Rafael, zanim został malarzem, węglem na ścianach cudzych śpichrzów bazgrał. Dickens za młodu mył słoiki u sklepikarza. Kochanowski w skromnym dworku wiejskim... a ty przecież malarzem, ani poetą nie jesteś!“ No, gadaj tu z takim! Ale mam duszę malarza i poety, ale zawodem moim nie jest, bądź co bądź, wymiatanie ulic, albo oranie ziemi, albo tam jakieś ciąganie heblem po drzewie, tylko praca umysłowa, która, bądź co bądź, wymaga odpowiedniej hygieny, aby, bądź co bądź... Ale co tu i mówić! Filistry tylko mogą rzeczy tych nie rozumieć, a sami przez się stanowią jedną z siedemdziesięciu siedmiu plag, ciężko natury wyższe dręczących. A rozmnożyło się to, a najróżniejsze postacie na siebie poprzybierało, a nawymyślało haseł marnych i płytkich! Ten naprzykład występował z brakiem prawa i zasługi: „Dotąd — prawił — społeczeństwo koszta tylko na ciebie łożyło. Wypłaćże się mu przedtem, nim zaczniesz znowu pożyczać u niego kołysek i szczudeł.“ Drugi z uczciwością wystąpił: „Oszukujesz świat, bratku — powiada — ludziom oczy chcesz zamydlić. Biednym będąc, bogatego udajesz!“ A jeżeli mi to pozory bogactwa (oj, bogactwo!) jak chleb do życia niezbędne? A jeżeli one zapewnić mi mogą powodzenie i w zawodzie moim i w stosunkach towarzyskich? Czym ja temu winien, że na świecie: jak widzą, tak piszą?—że ludzie płacą temu, kto dla nich pracuje, nietylko za pracę, ale i za złocone krzesełko, że na mahoniowem biurku nikt miedzianej monety nie ośmieli się położyć, a na sosnowem położy; że grube surduty od drzwi przedpokojów są odprawiane, a fraki do salonów zapraszane tem uprzejmiej, im słynniejszym jest krawiec, który je uszył? Czym ja temu winien, że panie Kamilla, Julia, Emilia ani spojrzeć nie chciałyby na mnie, gdybym od stóp do głowy nie był podobniuteńkim do ich braci i mężów, którzy posiadają krocie lub miliony i wtedy dopiero, gdy zrobię się do nich podobniuteńkim zewnętrznie, spostrzegają i oceniają, że wewnętrznie nieskończenie ich przewyższam? Oho! otrzymałżebym od Kamili tyle słodkich, niezapomnianych chwilek, gdybym szaraczkowato i gminnie wyglądał? Miałżebym u siebie na podwieczorkach — nieraz! — Julię, gdybym nie posiadał takiego przynajmniej jak to mieszkania? A kilka boskich tygodni życia, którymi obdarzyła mię Emilia, byłyżby moim udziałem, gdyby nie posiadała ona przekonania (fałszywege naturalnie), iż w razie przedłużającego się jej okrucieństwa jestem w stanie znaleźć (kupić) sobie pociechę u słynnej tancerki? Jestem zbyt rozumny, abym mógł nie wiedzieć, że ten szacunek, którego doświadczam w salonach i ta miłość, którą obdarzają mię te panie, wobec prawdziwego szacunku i prawdziwej miłości zajmują stanowisko tych oleodruków wobec sztuki. Lecz jeżeli do salonów i do miłości stworzony obejść się bez nich nie mogę? Co mam uczynić? Muszę zdobywać je w takim gatunku, w jakim je znajduję i takimi sposobami, jakimi zdobywać się dają. Jeżeli gatunek jest mizerny, krzywda mnie tylko się dzieje; jeżeli sposoby nie są szczerozłote, winna temu cywilizacya, która za każdy swój dar wymaga, jeżeli już nie złota, to choć jego podobizny. Trzeci z filistrów powiada: „Usiłuj, kochanku, prostować i oczyszczać cywilizacyę tam, kędy ona wykrzywioną jest i zbrudzoną, ale nie dodawaj jej we własnej osobie jednego więcej koszlawca i jednej więcej batystowej ścierki!“ Stare sztuki! prostować i oczyszczać! Ślicznie na tej robocie wychodzą ci, którzy się jej oddają! Znaczy to przez całe życie pościć. Nie odmawiam, nie odmawiam szacunku swego reformatorom, apostołom, męczennikom, ale do wstępowania w ich ślady, powołania w sobie nie

filozof świętym wiatykiem i ostatniem pomazaniem, owóż jak pięknie na drogę wieczności posilił się i namaścił się!" [1]). „Ciało sławnego Woltera, gdzie się ono schowało? gdyż z opactwa do Scellieres (gdzie było złożone) nic pewnego o tem dowiedzieć się niemożna. Przykra to rzecz dla nich, iż nie wiedzą, gdzie jest grób ich patryarchy, zwłaszcza, że czas by już pomyśleć i o cudach: jakoż mają już je i gotowe, tylko że nie wiedzą jeszcze do którego miejsca gładko to przypiąć" [2]). Pogrzebu Woltera nie mógł Łuskina strawić. „Za co Woltera przy dobyciu ciała tak uroczyście niedawno kanonizowano, kiedy żadnego nie uczynił cudu? Owszem, wielki on cud podobny do czasów Nabuchodonozora uczynił, gdy ludzi rozumnych przemienił w bezrozumne bydlęta" [3]). „Tą tak wspaniałą i tak kosztowną — pisał z okazyi sprowadzenia zwłok do Paryża — kanonizacyę i introdukcyę dla patryarchy swego Woltera sprawiło Narodowe zgromadzenie francuskie, a to na powetowanie owej obelgi zwierzchności duchownej, niegdy temuż pseudo-filozofów patryarsze uczynionej, gdy go na świętem miejscu grześć nie dozwoliła... Lat 86 mający starzec, bez pokuty w ostatniej rozpaczy zmarły, nietylko od zwierzchności duchownej, ale od swojej sekty pseudo-filozoficznej przez usta sławnego u nich Russa za bezbożnego osądzony, z takimi jednak honorami był do bazyliki św. Genowety prowadzony. Przyjdzie wkrótce na to, że dwunastu białymi końmi na wozie tryumfalnym do kościoła ten bezbożny filozof wprowadzony, będzie potem jednym ladajakim konikiem z tejże świątnicy na rozstajne drogi wywieziony" [4])... „Piszą teraz przeciwko księgom zmarłego Woltera, kiedy już on nie może nam na to odpowiedzieć; ale też za to ma ten sławny autor na tamtym świecie długą aż nader porę do odpowiadania przez całą wieczność za pisma swe Bogu!" [5]). Nie więcej był Łuskina łaskawym na Russa, Raynala, Mirabeau. „Niech bezbożni — pisał z okazyi samobójstwa, popełnionego na mogile filozofa genowskiego — do grobów Woltera, Russa i Mirabeau z procesyami gromadnie idą i łby sobie tam wystrzeliwają, a ołtarza i tronu niech nie obalają" [1]).

W wolności prasy widział źródło przewrotów i nieszczęść. „Największy przeszłego rządu francuskiego błąd był ten, iż nie miał czułej baczności na wychodzące rozmaite pisma i dopuszczał je nazbyt wolnie. Tej rządu nieczułości użyła dawno libertynów i deistów bez żadnej religii sekta, w teraźniejszym wieku (pod innem coraz nazwiskiem, najprzód ludzi uczciwych, potem duchów mocnych, a teraz filozofów) wskrzeszona i nader rozszerzona, która rozmaitemi dowcipnemi lecz bezbożnemi pismami wyszydzała najprzód religię, a potem i władzę świecką, dążąc do tego, ażeby jarzmo duchownej i świeckiej zwierzchności zrzucić, a wprowadzić wolność wyuzdaną, a to wszystko pod słodkimi pozorami łagodności i tolerancyi. Usławszy przez tyle lat taż sekta drogę swojemi „łagodnemi pismami," przystąpiła na ostatek do wypełnienia swych zamiarów „jak najłagodniejszymi" środkami, t. j. ogniem i mieczem i tak całą monarchię francuską w momencie prawie jednym obaliła" [2])... Kto cenzora nie chce, znać, że pisać zamierza przeciwko religii i dobrym obyczajom; rozlew krwi we Francyi jest następstwem szkodliwego wpływu książek. „Mniejsze byłoby zło, chociażby sto dobrych ksiąg nie wyszło, aniżeli żeby choć jedna zaraźliwa przy wolności drukowania wyniść miała. Lepiej dla samego autora, że cenzor prywatnie jego pismo poprawi, aniżeli gdy publiczność będzie jego błędy wytykała, a zwierzchność będzie to dzieło zakazywała i autora z drukarzem karała" [3]). Radby też nietylko zaprowadzić cenzurę, ale nawet w mieszkaniach prywatnych poszukiwać książek, wymierzonych przeciwko religii, obyczajom i władzy [4]). Obok tego wierzył w sny i skuteczność modłów o deszcz; opisywał smoki skrzydlate, trzęsienia zaś ziemi przypisywał łamaniu postów [1]).

W dobie chylenia się do upadku *Monitora*, a rozgoryczenia *Gazety warszawskiej*, wystąpił na widownię publicystyczną nieznany ex-jezuita, który dość długo w wydawnictwach swoich koncentrował kierunek wolnomyślny. Był nim ks. Piotr Świtkowski (1744+1793), człek wielkiej inicyatywy, wytrwałej pracy i niemałej odwagi. W dwudziestym pierwszym roku życia wstąpił do jezuitów w Krakowie, po ukończeniu kursów filozofii uczył młodzież w Łęczycy i Poznaniu, gdzie go zaskoczyła kasata. Z powodu reformy szkolnej, pomimo tego, że według opinii wizytatorów, był zdrowia dobrego i do uczenia miał zdolność — został, nie doszedłszy lat czterdziestu, profesorem wysłużonym tj. emerytem z pensyą roczną zł. 500, a obowiązkiem słuchania spowiedzi i codziennego odprawiania mszy. Chociaż był „obyczajów spokojnych" — obowiązków emeryta nie wypełniał; do roku 1782 „nie mieszkał stale nigdzie," najczęściej przesiadywał w Warszawie. Osiadł nareszcie na Trębackiej, najprzód na drugiem piętrze pałacu, zwanego Rydzyną, w którym do pożaru w r. 1786 obradowali wolni mularze; później na tej samej ulicy, w domu N. 636 na dole. Tu „wyschły" ex-jezuita rozwijał działalność rozległą i płodną.

Był Świtkowski wszystkowiedzem i utylitarystą, podobnie jak ogół „filozofów" wieku XVIII. W r. 1782 wydał u Grölla *Budowanie wiejskie, dziedzicom dóbr i posesorom do uwagi i praktyki podane;* w 1788 *O wielkiem a łatwem oszczędzaniu drzewa w piecach, kuchniach, gorzelniach i browarach;* publikował *Książkę dla gospodarzy* (1784, 1785), peryodycznie ogłaszał *Wybór wiadomości gospodarskich* (1786—88). Obok rzeczy tak specyalnych, wydawał jednocześnie miesięcznik p. t. *Pamiętnik polityczny i historyczny przypadków, ustaw, osób, miejsc i pism wiek nasz szczególniej interesujących* (1782—92), przemieniony w r. 1788 na *Pamiętnik historyczno-polityczny i ekonomiczny;* oraz *Magazyn warszawski pięknych nauk, kunsztów, różnych wiadomości dawnych i no-*

[1]) Gazeta warszawska z 25 lipca r. 1778.
[2]) Gazeta warszawska z 22 lipca r. 1778.
[3]) Gazeta warszawska z 15 czerwca r. 1791.
[4]) Gazeta warszawska z 3 sierpnia r. 1791.
[5]) Gazeta warszawska z 10 kwietnia r. 1779.

[1]) Gazeta warszawska z 9 lipca r. 1791.
[2]) Gazeta warszawska z 12 stycznia r. 1791.
[3]) Gazeta warszawska z 26 września r. 1789.
[4]) Gazeta warszawska z 15 październik r. 1774.

[1]) Gazeta warszawska z 11 lipca r. 1781, 19 sierpnia 1786, 17 stycznia 1787 i 17 czerwca 1789.

---

uczuwam. I jest to zupełnie naturalnem. W społecznych i w cywilizacyjnych zadaniach, tak jak we wszelkich innych, koniecznym jest podział pracy. Sama natura przez wszczepianie w ludzi rozmaitych skłonności i zdolności, tych stawia przy jednem kółku maszyny, tamtych przy innem. Ja nie przy tem postawiony zostałem i — rzecz skończona. Reformatorem będąc, trzeba ogromnie wyrzekać się i cierpieć, a dla mnie wyrzekanie się i cierpienia są wprost wstrętne. Wiem, że wogóle żyjące istoty cierpieć nie lubią, ale to nielubienie bywa w stopniu nierównym, we mnie zaś dosięga najwyższego. Przecież widywano męczenników uśmiechających się wtedy, gdy zdzierano im skórę z pleców, a i dziś jeszcze można gdzieniegdzie spotkać ludzi zgłodniałych, odartych lub w inny jaki sposób udręczonych, którzy mówią i szczerze mówią: „cierpię dla takiej a takiej idei, więc to cierpienie jest mi szczęściem." To bardzo wzniosłe i jest w tem nawet żywioł piękna, nie zaprzeczam. Sam nawet miałem raz pyszny pomysł do dramatu, którego bohaterem byłby taki wspaniały jegomość. Ale w gruncie rzeczy ani ci ludzie mają więcej zasługi przez to, że ich natura wyższą zdolnością do cierpienia i pocieszania się obdarzyła, ani ja mniej wartości, że nie w ten, lecz w inny sposób obdarzony przez nią zostałem. Bo naprawdę, skoro nie mogę cierpieć tak jak oni, więc nie mogę i skądżeby możność tę wziąć? Próbowałem być (z musu) cierpliwym, wstrzemięźliwym, wytężałem ku temu całą wolę i nic! Miotam się, wściekam, nerwy mi ledwie nie pękają, wszyscy dyabli we mnie wstępują i tak lub inaczej muszę dogodzić sobie, aby przestać cierpieć. Ale w zamian, jakże ja umiem używać! Z jak doskonałem znawstwem i z jaką wyrafinowaną sztuką spożywam smaczny kąsek życia, ilekroć mi się on dostaje! Pospolite obżery jedzą mięso wielkimi kawałami i piją wino wielkimi haustami, byle tylko najeść się i napić. Dla mnie każda najdrobniejsza fiberka przyjemności posiada właściwą sobie słodycz i woń, któremi rozkoszuję się osobno i długo, bo przedtem wyobraźnią i potem jeszcze pamięcią. Z tą zdolnością do pogłębiania przyjemności łączy się we mnie zdolność do ogarniania umysłem i zmysłami ich niezmiernie szerokiego pola. Piękny obraz, dobra muzyka, malowniczy widok natury, książka naukowa, albo poemat w ciszy gabinetu powoli czytane, dramat w blasku gazowych świateł i upale ludzkiej ciżby na teatralnej scenie odgrywany, z jednej strony, z drugiej — kobiety, pasztety, cygara, wina, wonie, szmery, połyski, barwy — na tem wszystkiem znam się, to wszystko jest przyrodzonym moim żywiołem. Chińska waza, japoński wachlarz, tanagryjska figurka, stylowy sprzęcik, kawał starej makaty, zarówno jak malownicze draperye sukni u pięknego ciała i sam jej szelest, jak nawet czarny pyszczek mopsika, po którym przesuwa się biała ręka — i na tem wszystkiem znam się, i to wszystko sprawić mi może dłuższy lub krótszy, lecz zawsze dobrze odczuty i zrozumiany zachwyt. Śmiało powiedzieć mogę, że niema na ziemi nic pięknego, ani z jakiegokolwiek względu miłego, czegobym nie potrafił rozpoznać, zgłębić, rozłożyć na atomy i z każdego z tych ostatnich wyssać wszystką rozkosz, którą wydać on z siebie może. I w tej to właśnie sztuce doskonałego rafinowania cieczy życia, w tej umiejętności najrozleglejszego i najsubtelniejszego używania, która jest może najwyższym z artyzmów, bo ogarnia je wszystkie i działa na całej przestrzeni i głębokości zjawisk pięknych i miłych — widzę swoją wartość i zarazem swoje przeznaczenie. Bo nie należy mniemać, aby wielu ludzi w tym, albo i w przybliżonym do tego stopnia sztukę tę posiadało. O nie! Mnóstwo na ziemi znajduje się łakomców, którzy w jednostajny sposób gryzą rzepę i ananas, gburów, dla których przyjemność jest rzeczą, którą się odrazu dławi, połyka i trawi, którzy też kolosalną jej sumę zużywając, istotnej jej wartości ocenić nie są zdolni. Prawdziwie utalentowanych i wykształconych artystów używania istnieje bardzo mało, są też oni najwyżej wybujałym i najdelikatniejszym kwiatem ludzkości. Dla nich to właściwie pracowały pokolenia i wieki, na ich korzyść przyroda poddawała niewyczerpaną obfitość swoich pomysłów przemysłowi i trudom ludzkości. Oni jedni zdolni są do wydobycia z uzbieranych bogactw należytego odsetku i do okazania przodkom swojej wdzięczności przez doskonałe uznanie dobroczynnych wyników ich istnienia, a potomkom swojej troskliwości przez wlewanie w ich żyły odziedziczonego talentu do coraz doskonalszego z nich korzystania. Do tej grupy nielicznych i dotąd przez świat niesprawiedli-

*wych dla zabawy i pożytku osób obojej płci, wszelkiego stanu i wieku* (1784, 1785). W *Pamiętniku* podawał przeglądy polityczne, budżety państwowe, bilanse handlowe, statystykę ludności, przemysłu i armii różnych mocarstw europejskich; rozprawiał o przyczynach upadku Polski i sposobach dźwignięcia jej; obok tego interesował się wszystkiem: zarówno teleskopami, jak szkolnictwem i filozofią. W *Magazynie* dawał przewagę rzeczom ogólniejszym, nie zaniedbując jednak i specyalnych.

Ateuszem Świtkowski nie był; protestował przeciwko pośredniemu nawet godzeniu w religię. Jeżeli, pisał, myśl użyteczna i piękna „nie może być rozszerzona bez naruszenia... maksym religii i obyczajności; naówczas cnotę kochający filozof powinien sobie bardzo ostrożnie postępować w pomnażaniu oświecenia. Powinien raczej znosić uprzedzenie, niż obalać religię. Prawda, iż ta maksyma była przedtem tarczą pokrytości i z niej to poszło panowanie przez tyle wieków barbarzyństwa, złączonego z zabobonem; mimo tego jednak każdy przyjaciel społeczności, nawet w oświeconych czasach, musi się na to oglądać" [1]). Ubolewał, że „w zdaniach religii, które przedtem umysły krępowały, rozszerzyła się taka wolność, iż się zamieniła nakoniec w szkodliwą narodowi ludzkiemu rozwiązłość i bezbożność. Według naturalnego rzeczy wszystkich toku, do wiele dobrego przymieszało się wiele złego i gdy z jednej strony wiele uprzedzenia porzucono i wiele zdań oczyszczono — z drugiej przestąpiono granice prawdy i rzetelnej mądrości." Ortodoksalnym jednak Świtkowski nie był. Religia podlega, zdaniem jego, prawu doskonalenia się, którego rezultatem ostatecznym powinna być miłość ludzi bez względu na ich wierzenia osobiste, tolerancya w przeciwstawieniu do fanatyzmu czasów dawniejszych. „Religia z przychylnych ludzkości powodów zaczęła się okazywać od pięćdziesięciu lat blisko godniejszą najwyższej owej dobroci, która wszystkich ludzi znosi. Sroga owa, uprzedzona i aż krwie samej chciwa gorliwość, której jeszcze na początku tego wieku widziano przykłady, dziś nieznajoma prawie. Ludzie, od ślepego a okrutnego deptani fanatyzmu, podnoszą już głowę i wolnie oddychają. Wszyscy chrześcianie poczynają się znosić wzajemnie i jedni drugim pobłażać sposobem, którego nie znały dzikie wieki owe. Prawda, że jeszcze w jednym Europy kącie zabobon dawną swoją moc rozpościera; ale i tam nakoniec rząd krajowy uzna swój interes własny, a hiszpanie, oświeceni nauk wszędzie się szerzących pochodnią, obchodzić się będą z ludźmi, choć różnej religii, jak z braćmi... We Francyi, lubo protestanci nie należą jeszcze jawnie do praw, innym obywatelom zwyczajnych, doznają oni tam już jednak, choć nieznacznie, wiele wolności. I wszystko zdaje się już być utorowane do walnego pozwolenia, aby jawnie wiarę swoją wyznawać mogli... Wielka Brytania pokazuje się także ludzkości przychylna i mądrze rządna. Najprzód w Ameryce północnej, a potem i u siebie zniosła uciskające katolików prawa i nadała im słuszne i przyzwoite wolności... Austrya nadaje dysydentom większe przywileje, niż ich się spodziewać mogli. Król pruski katolickiemu w swych państwach duchowieństwu osobliwszą przyrzeka uroczyście opiekę, pakiby starali się być wiernymi poddanymi. Wszyscy książęta niemieccy, ba! owszem wszyscy panujący w Europie, niektórych wyjąwszy, dopuszczają spokojnie wszystkich religii ludziom żyć w państwach swoich i nie pytają się, tylko jak się obchodzą z krajem... Przecież jeszcze nie jest wytępiony ze wszystkiem ów wstręt między różnemi religiami wzajemny; jeszcze się między niemi powszechna nie zawzięła miłość. Ale zbliża się już i ta pożądana dla społeczności epoka. A im się bardziej pomnożą i odmienią wojny, żegluga, handel z wschodniemi i zachodniemi Indyami, tož obcowanie najodleglejszych narodów i pomieszanie sekt różnych, — tem nabędziemy myśli łagodniejszych, przychylniejszych i wcale ludzkich. Albo raczej już teraz serce miękkie i duszę dla wszystkich ludzi tkliwą mieć poczynamy. Brzydzimy my się teraz duchem prześladowania, którym tchnąć mieli sobie przodkowie nasi za zasługę... Nienawiść ludzi obcego wyznania, którą przedtem za przysługę ku prawdziwej religii miano, dziś jest jej ujmą i obelgą. A ten sposób myślenia wydaje się nietylko w słowach, ale pochodzi z serca i znać go w postępkach."

(D. c. n.).

*W. Smoleński.*

[1]) Magazyn warszawski z r. 1785, t. I, część I, str. 5—13, art. z Mendelsohna „Co to jest oświecenie."

# LITERATURA I SZTUKA.

## LITERATURA POLSKA.

Juliusz Turczyński, *Nad Czeremoszem*, nowela huculskie.

Oryginalność w pomyśle, prostota w wykonaniu, świeży i barwny koloryt na tle stosunków nowych, dotąd w beletrystyce niewyzyskanych, tak rzadko dziś spotkać można w powieści współczesnej, że z przyjemnością bierzemy takie utwory do ręki. Jak niegdyś w epoce poezyi romantycznej baladomania stała się najulubieńszym i najmodniejszym kierunkiem twórczości epigonów i naśladowców Mickiewicza, tak dziś nowela ludowa zdobywa sobie przebojem prawa obywatelstwa w beletrystyce. Rośnie z dniem każdym liczba autorów, poświęcających swe pióra ludowi i odtwarzaniu jego rysów znamiennych, piętrzy się coraz wyżej stos utworów corocznie przez nowelistykę naszą tej dziedzinie przysparzanych, a mimo to czuje zarówno społeczeństwo, jak i piszący, że bardzo mało znamy jeszcze ten świat tak nam blizki i tak na pozór łatwy do poznania. Ta właśnie okoliczność, że on na widowni społecznej odbija się nader silnemi i wyrazistemi liniami, ludzi umysły nielubiące sięgać w głąb natury ludzkiej prostotą barw i środków, powoduje wytwarzanie manekinów, mających wyobrażać typy. Z olbrzymiej fali prac nowelistycznych tego rodzaju maleńka zaledwie ich cząstka, będąca owocem bezpośredniej obserwacyi, rościć może pretensyę do nazwy noweli ludowej; reszta to mdłe kopie wybladłych oryginałów, tworzone w pośpiechu przez autorów, spędzających życie całe przy biurku literackiem, znających lud i wieś tylko z opisu.

wie ocenianych, lecz wysoką społeczną i artystyczną wartość posiadających wybrańców — ja należę; przy tem to kółku maszyny umieściła mię natura i zaprawdę nikt umiejętniej i z większem rozmiłowaniem nie obracałby tem kółkiem ode mnie, gdyby... Ach, tu właśnie ogarnia mię wściekłość i rozpacz! Ręce gryzę, włosy wyrywam na wspomnienie, ażeby mogło być życie takie, jakiem ja je rozumiem, gdybym umiejętność i pomysły swoje mógł w rzeczywistość zamienić. Filistry pewno wyobrażają sobie, że byłby to długi ciąg rozpusty. Ciasne głowy, tępe zmysły, poziome wyobraźnie! Byłby to owszem poemat w życiową formę wcielony, byłby to długi, nieprzerwany ciąg wzlatywania nad poziomy, wobec którego scen i sensacyj pogasłyby żary i omdlały blaski Sardanapalów i Lukulusów. Kiedy pomyślę, że zdolności i natchnień swoich w tym kierunku nigdy nie zużyję, że tego poematu, który mię rozpiera, nigdy z siebie nie wydam, że najwznioślejsza część mojej istoty strawi się bezpłodnie wśród szarzyzny życia, jak szlachetne kadzidło w lampie kuchennej — to ta niemożność, wskrzesza we mnie taką nienawiść i wzgardę dla świata, taką do życia odrazę, że ręka moja pomimo woli sięga do szuflady i dotyka małego, chłodnego narzędzia, które jest ostatnią, dobrą ucieczką dla srodze skrzywdzonych....

Najnieznośniejszy może gatunek filistrów stanowią ci, którzy ciągną mię na niziny społeczne i z maślanemi od rozczulenia twarzami, wołają: „Patrz-no, patrz-no tylko, co tam się dzieje"! No, cóż takiego? Orzą tam, kopią, rąbią, dźwigają ciężary i różne inne rzeczy robią... Panie Boże dopomóż! ale mnie co do tego? Ku tym właśnie celom są stworzeni, nic innego nie umieją, przez to tylko darem życia cieszyć się mogą, to tylko społeczną ich wartość stanowi, podział pracy. Ja w tem niczego innego prócz podziału pracy dopatrzyć nie jestem w stanie. Potem obleważą się! To bardzo dobrze. Dla takich, którzy myją się rzadko, pot jest rodzajem dobroczynnej dla zdrowia łaźni. Głodem przymierają! Cóż znaczy ich głód fizyczny, wobec tego duchowego, który trawi mnie i do mnie podobnych? Wśród pognębiających trudów i cierpień, w zaklętem kole ciemnoty, moralnie wzrastać i doskonalić się nie mogą! Pytanie: czy zdolnymi są do moralnego udoskonalania się i wzrastania? Moje doświadczenie przynajmniej przecząco na te pytania odpowiada, bo ilekroć zdarzyło mi się spotykać ludzi z gminu, których wykształcenie podniosło ku wyższym warstwom społecznym, były to zawsze niezgrabne kloce i szorstkie gbury. Nie zaprzeczam, że pod tą zewnętrznością znajdowały się niekiedy dość cenne przymioty charakteru i umysłu, które jednak dla mnie, wielbiciela formy, przez przykre niedostatki tej ostatniej, powab i wartość traciły. Śmiem nawet wątpić, czy należy zatruwać przedziwną woń cywilizacyi przez forsowne wciąganie na jej szczyty ludzi, którzy pozbyć się nie mogą odziedziczonego zapachu kożuchów. Wprawdzie ja także nie w książęcych pałacach oczy na światło słońca otworzyłem; ale wyjątkiem jestem i takich wyjątków może być pewna nieduża liczba, co nie stanowi dowodu, aby cała ta gęsta masa niezgrabnych cielsk i ślepych duchów mogła kiedykolwiek stać się czem innem, niż jest. W całem królestwie natury panuje prawo nierówności: czyliż kiedykolwiek słyszano o buncie żab przeciw orłom, albo o prawach pokrzywy do piękności i wzrostu magnolii? Miałażby natura dla jednej tylko ludzkości złamać i zmienić swoje wieczne i powszechne prawo? Wątpię. Zdaniem mojem, wyrobnik rąbiący drzewo jest i pozostanie w stosunku do mnie tem, czem żaba w stosunku do orła, dziki chwast do uprawnego kwiatu. Można w tem nawet dostrzedz przedziwną opatrzność i gospodarność natury. Nic w niej nie przepada, ani na marne nie idzie: ujęte z jednego brzegu, dodanem zostaje do drugiego, ze łzy tu padającej, tam pozostaje perła, rozłożone pokrzywy użyźniają grunt pod magnolje. Nie ja zresztą pierwszy to odkrywam, ale dowiedziono już jest rzeczą, że bez ustawy niewolnictwa, cywilizacya utknęłaby przy pierwszych swoich krokach. Praksyteles nie mógłby rzeźbić, Apelles malować, Herodot pisać dziejów, Platon filozofować, Aleksander Macedoński za pośrednictwem wojen odkrywać nieznanych stron świata, gdyby inni ludzie nie zamęczali się w ich zastępstwie.

(D. c. n.)

A jednak mało która z dziedzin odsłania uważniejszemu spostrzegaczowi tak rozległe widnokręgi, daje tyle świeżego i wdzięcznego materyału, różnorodnych postaci i obrazów. Każda okolica, każdy skrawek kraju rodzi inne, zawisłe od warunków przyrody, bytu, otoczenia, przemysłu, tradycyj wiekowych i cywilizacyi, a przeszłość, podania, baśnie i cała poetycka przędza, bez której lud istnieć nie może, urabia tkankę, która nadaje tak znamienne cechy każdemu wybitniejszemu typowi.

Próbę i to wcale udatną wprowadzenia nowego żywiołu do noweli ludowej daje nam p. Turczyński, autor wytwornie wydanego zbioru p. t. *Nad Czeremoszem.*

Kto kiedykolwiek znalazł się w Galicyi wschodniej, w okolicy miast Stanisławowa i Kut lub nad brzegiem rzek Czeremoszu, Prutu, Łomnicy, robił wycieczki do najwyższego pasma Karpat wschodnich, Czarnohory, temu wpaść musiał w oko oryginalny, wschodni o wybitnie charakterystycznych, ciemnej barwy rysach lud górski, zamieszkujący te zakątki. Sposobem życia, ubiorem, zwyczajami i pojęciami wybitnie różni się on od innych współmieszkańców. Zamknięty w sobie utworzył osobne plemię, ściśle odosobnione i odgraniczone od świata chińskim murem przesądu i uprzedzenia. Silna budowa i wygląd wschodni, zupełnie odmienny od słowiańskiego, charakter gwałtowny i burzliwy, fanatyczne przywiązanie do gór, wiara w gusła, czary i zabobony, mająca swe źródło w wiekowych, prawdopodobnie pogańskich jeszcze tradycyach, a przy tem wszystkiem pewien nieokreślony urok natury i poezyi cechują to plemię, stanowiące niby wyspę wśród ludności wschodniego podgórza karpackiego.

Są to huculi. Odmienny zupełnie charakter i cała uderzająca pod każdym względem odrębność zwracała na nich niejednokrotnie uwagę pisarzów. W literaturze rusińskiej obficiej niż w naszej dostarczyli oni tematu zarówno dla poetycznych, jak i powieściowych utworów, i w naszej jednakże uwiecznili ich Korzeniowski (*Karpaccy górale*) i Wójcicki (*Dobosz*).

Jedną z głównych właściwości charakteru i usposobień tego ludu jest nieokreślony popęd do swobody. Czy górska natura, czy też może tradycye jakichś rycerskich dzieł, dokonanych przez przodków, czy wreszcie pamięć bohaterstwa zbójców karpackich, którzy z dawien dawna po największej części z siół huculskich się rekrutowali, wyrobiły w nich tę dzikość charakteru, butę i nieokiełznanie, nie wiadomo, dość że śród żadnego innego ludu kult dla odwagi, aureola bohaterstwa rozbójniczego i pamięć świetnych dowodów męztwa, hojności i cnót opryszków nie przechowuje się w tym stopniu, co u huculów. Minęły już dawno te czasy, gdzie im o tem marzyć było wolno, a może i uprawiać owo zyskowne rzemiosło na szlakach dróg węgierskich; mimo to wspomnienia te są jednym z najulubieńszych tematów pieśni i opowieści, stanowiąc nieoddzielną cząstkę ich natury i wyobrażeń.

Natura ta przebiła się też i w literaturze. Wszyscy autorowie piszący o huculach nie pominęli jej, nie wyłączając nawet ostatniego w ich szeregu autora zbioru *Nad Czeremoszem*, który więcej może od innych jeszcze w przedmiocie tym się rozlubował.

Trzy nowelki, zatytułowane imionami bohaterów, złożyły się na całość zbiorku. Trzej ci bohaterowie wiążą swe losy z tradycyą życia rozbójniczego opryszków karpackich, tylko że podczas gdy dwaj z nich wykolejeni rzucają się w wir tego awanturniczego życia, trzeci występuje jako stróż bezpieczeństwa. Ciekawym i oryginalnym jest temat, pociągające urokiem tło, a już bezsprzecznie najciekawszą metoda tworzenia, jaką się posługuje autor. We wszystkich obrazkach osoba bohatera i jego losy stoją na pierwszym planie, cała zaś akcya skupia się tylko i wyłącznie około ich osób, wszystko zaś inne odgrywa rolę podrzędną, jako dodatkowe drobiazgi.

Na hańbę matce, na nieszczęście siołu rodzinnemu urodził się *Trofym Ołenyn.* Za chłopięcych i młodocianych lat tułał się po wiosce, żyjąc z rzuconego tu i owdzie okrucha, później pasał bydło na hałach i połoninach, ale w tych różnorodnych losu kolejach nie towarzyszyła mu nigdy przychylność ludzka. Mimo to w wątłem ciele wyrobił się charakter silny i wola nieugięta. Widząc się wydziedziczonym w społeczeństwie, zapragnął tym, którzy nim poniewierali, udowodnić, że potrafi żyć uczciwie i użytecznie. Po wysłużeniu obowiązkowych lat w wojsku, zostaje żandarmem, a jako taki po niedostępnych jarach i skałach tropi opryszków. Okolica cała zna nieustraszonego Trofyma, a opryszki drżą na wspomnienie jego nazwiska. Raz udaje mu się podstępem na szczytach Czarnohory ująć i okuć całą szajkę zbrodniarzy. Za ten czyn dostaje odznaczenie i pensyę dożywotnią, ale mściwa kula opryszka kładzie kres życiu użytecznego i prawego hucuła.

Treść prosta i uboga, mimo to szarym kolorytem, siłą wydobywającego się z całą konsekwencyą logiczną pesymizmu obrazek ten przypomina mimowoli bohaterów nowel Okońskiego, wyrywając z piersi czytelnika bezwiednie okrzyk: „Biedny Trofymie, ja ci to, żeś chciał w pocie czoła pracować i być bratem moim — przebaczam."

Wątku do drugiej z rzędu noweli, która w wyższym jeszcze stopniu od poprzedniej szarpie uczuciem goryczy, są losy *Tarasa z Worochty.* Jeśli nie nowym jest tu wzruszający ustęp dziejów pełnego niedoli dzieciństwa Tarasa, którego przywilejem podobnie, jak i poprzedniego bohatera, jest nieprawe urodzenie, to niezaprzeczenie nawskroś oryginalnym, nawet nieco zbyt romantycznym jest opis dalszych losów huculskiego *łegina.* Niedola młodości wyrabia w jego charakterze siłę odporną i dumę. Upośledzony urodzeniem i ubóstwem pragnie pracą dobić się uznania między swemi. Na drodze burzliwego życia staje jednak piękna Ołena a smutne dzieje tego stosunku wyrzucają Tarasa ze spokojnej życia kolei. Ojciec dziewczyny, *bohacz* huculski, nie chce słyszeć o związku córki z ubogim *łeginem*, tem więcej że chłopca tego nienawidzi z powodu, iż mu zbyt przypomina rysami uwiedzioną przezeń przed laty kochankę. Stary domyśla się w Tarasie syna i to go tem większą dłań napawa nienawiścią. Zszedłszy młodych na schadzce, wpada w niepohamowaną wściekłość. Porywają się obaj za bary i szamocąc wpadają do Prutu, gdzie na kamieniach odnoszą ciężkie uszkodzenia. W groźnej chwili stary wyjawił Tarasowi tajemnicę urodzenia, poczem w kilka dni umarł, a Taras w rozpaczy nad utratą kochanki i zbrodnią popełnioną na ojcu ucieka w lasy Czarnohory i zaciąga się do bandy opryszków. Tu pędzi długie lata w zgryzocie i pohańbieniu, aż wreszcie, nie mogąc dłużej znieść wyrzutów sumienia, rzuca bandę i wraca, aby skonać pod progiem Ołeny, która mu zamyka oczy.

Mniej romantyczną, choć równie posępnemi farbami malowaną jest trzecia i ostatnia nowela *Ostap z Perechińska.* I ten nieborak nasłuchawszy się za młodu od starego watahy Herasyma opowiadań o bohaterskich czynach i hojności sławnego opryszka „Dowbosza," dniem i nocą marzy o podobnym losie. Doszedłszy wieku młodzieńczego, zbiera garść urwisów i z niemi organizuje szajkę, w której sobie wyznacza rolę dowódcy. Schwytany wraz z towarzyszami przy pierwszej próbie, skazany na rok więzienia, dochodzi do przekonania, że czyn ten nie był bohaterstwem, ale złodziejstwem. Nie urodził się jednak do życia pod szczęśliwą gwiazdą. Opuściwszy więzienie, wybija podczas pijatyki w karczmie, gdzie go przypadkiem zaciągnięto, towarzyszowi oko. Skazany ponownie jako niepoprawny na 5 lat więzienia, z tęsknoty do gór umiera wkrótce, niepogodzony ze społeczeństwem, nie zdobywszy nawet w krótkiem życiu pojęć zasadniczych o sprawiedliwości i porządku społecznym.

Oto treść trzech opowiadań p. Turczyńskiego. Z pośród bieżącej fali nowelistycznej wyróżniają się one przedewszystkiem siłą i oryginalnością kolorytu, wątkami niepowszednimi oraz świeżością opisów pasma Czarnohory. Autor ma dar malowania przyrody w krótkich, ale dosadnych rysach, dla obrazków swych umie przygotować tło barwno, nęcące urokiem nowości. W opisach życia ludu górskiego, jego charakterystyce i psychologii, które zna, zdaje się, z bliskiego z nim zetknięcia, jest realistą, unikającym przesady, a nieszczędzącym farb żywych tam, gdzie ich potrzeba dla wywołania wrażenia w pełnej sile. Można mu zarzucić, że obrazy te są za mało słoneczne, że zbyt mało zwraca uwagi na jasne i dodatnie strony życia, ale wrażliwości na nędzę i niedolę, sztuki jednania sympatyi czytelnika dla swoich bohaterów trudno mu odmówić.

Niepodobna natomiast pominąć jednej dosyć rażącej usterki w metodzie, jaką się autor posługuje. Nowela, ujęta w ramy życiorysu bohatera, z konieczności robi wrażenie portretu, zamiast obrazka rodzajowego. A gdy wszystkie trzy nowele mają jedną formę i jeden szablon, gdy nadto wszystkie posiadają wątek zbliżony i tło toż samo, to mimowoli nasuwa się obawa maniery. Język autora jędrny, śmiały, lubo nieco surowy, dobrze daje się zastosować do tematu i pomaga w oddaniu wrażeń, z tem wszystkiem jednak większa dbałość o formę artystyczną, przy równoczesnem zarzuceniu niektórych prowincyonalnych zwrotów i wyrażeń, wyszłaby wielce na korzyść wdzięcznych obrazków z *nad Czeremoszu.*

*W. P.*

---

W. Feldmann. *W Okowach*, Lwów 1891 2 tomy.

Dotychczasowe prace młodego autora, miały przeważnie na celu kwestyę żydowską, a wynik myśli i badań na tem polu ogniskuje się w „Żydziaku."

Braki, już nie „narodu w narodzie," ale społeczeństwa chrześciańskiego, braki, wywołujące niedolę milionów, przesuwają się przed nami żywo w powieści społecznej p. t. „W Okowach." Rana, którą tu odsłania autor, to kwestya małżeńska. Stosunki, krępujące wolną myśl, wtłaczające ją gwałtem w skostniałe formy życia, ten nieludzki przymus skamieniałego zwyczaju — oto ciężkie i żelazne okowy, jakiemi spętano kobietę. Dziś potrzeba przypadku, aby ona, jak Jadwiga, spotkała umysł młody, niezależny i krytyczny, pod wpływem którego rozwinąć by się mogła i w którego objęciach znalazłaby szczęście. Jest to córka bogatego obywatela, którą ojciec wydaje za właściciela dóbr. Czysta, szlachetna idealistka staje obok zużytego małżonka i lichej wartości człowieka. Pożycie z nim jest dla niej pasmem tłumionych cierpień. Przekonawszy się o jego niecnych sprawkach, opuszcza go i zamieszkuje z dwojgiem drobnych dzieci w prowincyonalnem miasteczku, wśród „małych ludzi," z ciasnemi czaszkami i wązkiemi drogami, a marnymi celami. Od nikogo już niezależna, walczy teraz z chorobą, z brakiem materyalnych środków, z różnemi przeciwnościami losu. Wówczas zjawia się niespodzianie mistrz i przyjaciel jej Teofil Zahradnik. Idealny ten człowiek, wytwór fantazyi autora, który zawsze tylko dla drugich pracuje, a radby z pod serca utoczoną krwią zasilić ludzkość całą, który ciągle dawał, a niczego nie żądał, zapragnął Jadwigi dla siebie. Dziecko jej stało się przez swój naiwny, rozrzewniający szczebiot przyczyną ich wyznań. I nadzieja szczęścia opromieniła blade, spracowane czoło Jadwigi. Ze snu tego obudził ją

niebawem złowrogi brzęk okówów, spowodowany przyjazdem męża, tęczowe marzenia prysły jak bańka mydlana. I znów przypadek umożliwił im połączenie, tym razem na zawsze. Zemsta bowiem uwiedzionej pokojówki przyprawiła jej męża o śmierć, „ale gdyby kosa ta nie była przecięła okówów Jadwigi — musiałaby żyć jako niewolnica.“ Rozwój jej charakteru przechodzi wszystkie odcienie długiego procesu, który z pustej dziewczyny tworzy myślącą i walczącą kobietę „czującą się kółkiem wielkiego pnia przyrody, spojoną z nim stoma niemi łodygi.“ Zewnętrzne okoliczności działają potężnie na jej wrażliwą naturę. Silne uczucie macierzyńskie przytłumiają jej uczucia, chwilowo w czasie apatyi i wyczerpania, ale wystarczy słabe pobudzenie, aby uczucia te wybuchły gorącym płomieniem.

Analiza choroby woli, jakiej, ulega, jest więcej niż obrazem powieściowym, jest studyum psychologicznem. Jadwiga to nie Marya, ani Marta, którym zresztą nie dorównywa pod względem *estetycznym*. Maryę i Marty są wyjątkami, jednostkami, a liczba tych których ona jest przedstawicielką, wzrasta z każdym dniem. Jadwiga ma coraz więcej siostrzyc z ducha świadomych „kajdaniarek,“ które rozumieją, że „spokój — to śmierć, a życie ciągłą walką.“ Etyka społeczna autora streszcza się w słowach Teofila. „Moja etyka wypływa ze zrozumienia praw przyrody i względu na dobro ogólno-społeczne. One mi mówią, że chleb i miłość są elementarnymi prawami każdej jednostki, że potrzeby te należy zaspokoić wszelkim kosztem, byleby ten nie służył chwilowemu egoizmowi osobnika, a mógł się stać normą postępowania dla całego społeczeństwa.“

Tendencya autora idzie z kompozycyą utworu równolegle ale nie przesiąka jej artystycznie. Koloryt powieści jaskrawy, krzykliwy. W całem przeprowadzeniu czuć niepewną i niewprawną jeszcze dłoń młodego autora, który stawia dopiero pierwsze kroki na polu powieści. Idea jednak postępu znajdzie w nim dzielnego szermierza, a wydziedziczeni odważnego obrońcę. Oby myśl społeczna, w imieniu której walczy, obudziła ociężałych i nieświadomych z letargu ducha, oby wskrzesiła w tych, których życie szarym zasypane popiołem, ognie i płomienie, jak w sercach młodych, gorących spotęgowała już chęć gojenia ran społecznych i zapał do czynu.

*M.*

---

## Z WYCIECZKI DO BUDAPESZTU.

*1 stycznia.*

Międzynarodowa wystawa sztuk pięknych. — W jakich warunkach rozwija się dzisiejsza sztuka węgierska. — Portret i obraz rodzajowy na wystawie peszteńskiej. — W pracowni Alojzego Strobla i Leopolda Horowitza.

W Peszcie otwarto międzynarodową wystawę sztuk pięknych. Zwabiony rzadką sposobnością poznania całokształtu dzisiejszego ruchu artystycznego w Węgrzech, zwiedziłem tę wystawę, a że przy sposobności poznałem kilku wybitniejszych artystów, pragnąłbym też podzielić się z kołem czytelniczem *Prawdy* wrażeniami tam odebranemi.

Wystawa, umieszczona w „Kunstlerhausie,“ na ulicy Andrassego, imponuje rozmiarami i doborem. Niestety, węgrzy, jak pod wieloma względami, tak też pod względem manii wielkości idą za śladem francuzów: otwierając wystawę międzynarodową i spraszając na nią zagranicznych krytyków i przyjaciół sztuki, redagują katalog wyłącznie w języku węgierskim. Gdyby nie uprzejmość d-ra Mikołaja de Szmrecsanyi, sekretarza Towarzystwa sztuk pięknych, niedokładne jeno miałbym wyobrażenie o znaczeniu skarbów nagromadzonych na wystawie. Nigdy tak jasno nie przekonałem się, iż obrazy dzisiejsze bez dokładnego tytułu obyć się nie mogą; tu i owdzie tylko spotykałem płótno lub rzeźbę, zrozumiałe same z siebie.

Sztuka węgierska rozwija się obecnie w nader korzystnych warunkach. Wprawdzie nioma właściwej akademii w Peszcie, istnieje jeno t. zw. „Krajowa szkoła rysunków,“ a dla wyższego wykształcenia szkoła malarzów Benczura i szkoła rzeźbiarzów Strobla; lecz rząd węgierski rozdziela mnóstwo stypendyów, w które zaopatruje artystów nieraz od 15—25 roku życia, umożliwiając im kształcenie się za granicą. Wróciwszy do kraju, znajdują oni obfitą i dobrze płatną działalność. Rząd zatrudnia zdolniejszych przy budowach monumentalnych, których coraz więcej przybywa: obecnie dekorują pałac sprawiedliwości, parlament wspaniale ozdobiony będzie rzeźbami i malowidłami, a nadto rozpoczęto już budowę nowego zamku królewskiego. Rząd i Towarzystwo sztuk pięknych zakupują obrazy na wystawach, a nie mniej hojnych mecenasów mają artyści w biskupach węgierskich, posiadających olbrzymie dochody i pyszne galerye. Arystokracya zatrudnia głównie portrecistów. Pragnąc nadto wystawom peszteńskim nadać więcej okazałości, węgrzy zapraszają artystów obcych do uczestniczenia i zachęcają do nadsyłania obrazów, zakupując corocznie pewną ilość dzieł zagranicznych dla muzeum narodowego. Nadmienię jeszcze, że naród gorączkowo niemal zbiera krocie na pomniki okazałe, które czczą bohaterów, ozdabiają stolicę a artystom dają sposobność do twórczości. Sale wystawy o każdej porze dnia bywają przepełnione; tak żywego zajęcia się sprawami sztuki w kołach szerokich nie widać w innych krajach.

Łatwo tedy zrozumieć, że artyści węgierscy tworzą chętnie i dużo. Lecz co ważniejsze, w szeregach ich powstają wybitne talenty nadając artystycznej twórczości Węgier istotną świetność. Starsi mistrze gasną niemal wobec tego fejerwerku młodych talentów. Loty i Than, dzielni uczniowie wiedeńskiego Rahla, którzy za czasów pełni swych sił ozdabiali monumentalnemi malowidłami gmachy peszteńskie, nie współubiegają się dziś o palmę pierwszeństwa z tą młodą rzeszą, która nadpływa z Paryża i z Monachium. Benczur zawsze jeszcze wynosi się ponad nich pysznymi portretami, które przyćmiewa tylko blask płócien Horowitza, mieszkającego obecnie w Peszcie. Munkaczy uświetnia wystawę peszteńską nadesłanym z Paryża portretem według najnowszej mody: jest to olbrzymie płótno, wyobrażające bogatą jakąś amerykankę na tle eleganckiego budoaru. Z młodszych portrecistów najwybitniejszym zdaje się być Ballo, którego popiersie biskupa Szlaucha odznacza się wyborną charakterystyką i niepospolitą naturalnością kolorytu.

Na całej wystawie węgierskiej nie masz ani jednego obrazu historycznego pędzla węgierskiego. Parę treści religijnej, rozsianych tu i owdzie, stanowi najsłabszą jej stronę. Brak tu więc sztuki monumentalnej. Zato obraz rodzajowy reprezentowany jest tak świetnie, że w nim słusznie dziś upatrują właściwą dziedzinę sztuki węgierskiej. Młodzi artyści, którzy na tem polu składają próby swego talentu, wszyscy bez wyjątku używają nowej techniki *plain-air'u*, lecz ją stosują z niezwykłym smakiem, nie wpadając w brzydką sieczkę impresyonistów francuskich. Węgierski obraz rojowy rozpada się na trzy grupy, jasno rozdzielone. Najpopularniejszym jest tu narodowy. Typowem dziełem tego kierunku jest „Łobuz wiejski“ Bisharego: syn bogatego gospodarza sprowadza wśród zimy bandę cyganów do wioski, sam z flaszką w ręku tańcząc na ich czele. Wybornie scharakteryzowani są cyganie, grający, wpatrzeni w twarz chłopaka rozweselonego, gotowi na skinienie jego zmienić melodyę. Pełne poezyi są płótna Baditza. Jego „Różyczka wiejska“ wyobraża młodą dziewuchę, stojącą we mgle porannej na łące; ręce splotła na głowie, oczy zamarzone w dal skierowała. Henryk Pap oddał wnętrze prowincyonalnej węgierskiej izby asenterunkowej. U stołu siedzi kilku oficerów, scharakteryzowanych z humorem; przed nimi kapral, wyciągnięty jak struna „melduje pokornie“; w głębi pokoju kilkunastu chłopaków wiejskich trwożliwie się skupia, wśród nich zaś *gogo* prowincyonalny stoi nadęty, z wszelkiemi oznakami niezadowolenia. Dla towarzystwa peszteńskiego obraz ten, pełen humoru i świetnej charakterystyki, jest tem zabawniejszy, że w owym *gogu* Pap spotetował jednego z kolegów. Do najwybitniejszych obrazów tejże grupy zaliczam jeszcze Valentiny'ego „Graczów“: parę chłopców węgierskich, usadowiwszy się około beczki obróconej dnem do góry, gra zawzięcie w karty. Niestety we wszystkich obrazach, o których wspomniałem dotychczas, nie tyle ujmuje założenie, ile sposób wykonania, o którem pióro jasnego wyobrażenia dać nie może.

Inną jest sprawa t. zw. salonowego obrazu rodzajowego, który świetniej jeszcze przedstawia się na wystawie węgierskiej, a którego najcelniejszym w Peszcie mistrzem jest Tihamer Margitay. Poprzednie utwory tego artysty w tylu pismach były reprodukowane, że zapewne i w Warszawie są znane. Margitay jest artystą myślącym dramatycznie: w każdem niemal z jego płócien widzimy rozegranie się jakiejś akcyi, której część poprzednią z łatwością odgadujemy; są to niejako nowele skoncentrowane w jednej scenie i na tem polega wyższość tego malarza od innych rodzajowych, którzy bezmyślność uważają za swój przywilej. „Koniec komedyi,“ oto tytuł najnowszego obrazu Margitaya. W poczekalni dworca kolejowego widzimy towarzystwo aktorów prowincyonalnych, zgromadzone dokoła stołu. Wtem sędziwy generał o surowem i zbolałem obliczu wchodzi, oparty o laskę i zmierza wprost ku owemu towarzystwu: córka jego, która snać uciekła z kochankiem, mdleje, donżuan teatralny zaś w aksamitnym tużurku prostuje się dumnie, przyjmując pozę teatralną. Koleżanki jego, spokojnie popijając kawę, uśmiechają się złośliwie. Jest to najdowcipniejszy obraz wystawy peszteńskiej, pełen świetnej charakterystyki; technicznie odznacza się wzorową perspektywą.

Trzecia grupa węgierskiego obrazu rodzajowego czerpie motywy swe z życia wschodniego. Szereg udatnych studyów i wykończonych utworów na tem tle wystawił Tomay, młody jeszcze artysta, odznaczający się świetnością kolorytu.

Z utworów nadesłanych przez artystów polskich najcelniejszym jest średnich rozmiarów obraz rodzajowy Wacława Szymanowskiego. Malowane w pełnem powietrzu i świetle płótno to wyobraża scenę wiejską: młody chłop węgierski bawi dwie hoże dziewki, trzy inne przypatrują się tej grupie; wybornie oddał Szymanowski prostaczą gracyę młodych wieśniaków.

Z artystów, których poznałem w Peszcie, ujmujące wrażenie wywarł na mnie Strobl, kierujący szkołą rzeźbiarską. Uczeń Zumbuscha, rychło znalazł się w warunkach zazdrości godnych. Wprawdzie pracownia i szkoła jego mieszczą się w małym domku, lecz naród i arystokracya obsypują go obstalunkami. Obecnie wykonywa on w wielkich rozmiarach pomnik dla poety Aranyiego, który stanie przed muzeum narodowem; lecz już w drugiej pracowni przygotowywa projekt do wielkiego pomnika wolności, mającego stanąć kosztem 300,000 złr., zebranych przez naród. Na wystawie widziałem cały szereg biustów z bronzu i marmuru dłuta Strobla, wyko-

nanych w roku ostatnim. Wśród takich warunków tworzyć przyjemnie, to też składając dowód, iż jest prawdziwym artystą, a nie karyerowiczem, goniącym jeno za bezpieczną pozycyą, pracuje gorączkowo, aby urzeczywistnić marzenie młodych rzeźbiarzy węgierskich i stworzyć rzeźbę narodową.

Leopold Horowitz, będąc obywatelem węgierskim, przeniósł się obecnie do Pesztu dla wychowania dzieci. Cenią go tu nie mniej, niż w Warszawie; zaraz po przybyciu jego do Pesztu, rząd oddał mu pracownię w gmachu akademii; sześć portretów na pół wykończonych stoi w niej na stalugach. Horowitz, ożeniony z warszawianką, nie zrywa bynajmniej stosunków swych z Królestwem; owszem, córka przebywać będzie w Warszawie przez parę miesięcy. Jako człowiek jest niemniej sympatycznym, aniżeli jako artysta; ujmuje w nim zwłaszcza skromność i poważna dążność do doskonalenia się, nieczęste u artystów tego rozgłosu.

*Stwosz.*

---

# ŻYCIE SPOŁECZNE.

## LISTY WIEDEŃSKIE

*3 stycznia.*

Wykłady dr. Raciborskiego. — Odczyt p. Daszyńskiej o stanie kwestyi kobiecej w Królestwie. — Zniesienie wiedeńskich linij akcyzowych. — Przyjęcie u Szaparego. — Traktaty celne.

W Bibliotece Polskiej rozpoczął dr. Raciborski szereg odczytów treści filozoficznej. Nie pierwszej już młodości, od lat kilku wykłada filozofię jako docent prywatny wszechnicy lwowskiej. Mniej śmiały i postępowy, aniżeli Ochorowicz, żyje w zgodzie z patryarchą-profesorem Czerkaskim i senatem wszechnicy a przygotowywa się pono na objęcie po nim katedry. Przybywszy obecnie do Wiednia dla uzupełnienia studyów, na prośbę wydziału Biblioteki Polskiej opracował szereg wykładów o genezie świata według poglądów najwybitniejszych filozofów. O wykładach tych doniesiemy obszerniej, skoro prelegent je zamknie; dziś zaznaczyć jeno chcemy, że p. Raciborski wysławia się doborowo i potoczyście i umie słuchaczów swych zająć przedmiotem.

Wysłuchaliśmy 19 grudnia odczytu p. Daszyńskiej o stanie kwestyi kobiecej w Polsce, wygłoszonego przed liczną a doborową publicznością w sali „Klubu naukowego.“ Prelegentka, znana publiczności wiedeńskiej z rozpraw i artykułów ekonomiczno-statystycznych, ogłoszanych w tutejszych pismach naukowych i codziennych, zaproszona została przez stowarzyszenie ku rozszerzeniu wykształcenia kobiecego do wystąpienia z odczytem. Pani Daszyńska użyła tej sposobności dla określenia ogólnego stanu cywilizacyi polskiej w Królestwie, a sądząc po oklaskach i ożywieniu słuchaczów, udało jej się zdobyć ich sympatyę dla typu cywilizacyjnego, wytworzonego w Królestwie. Kwestyę kobiecą wyświetliła genetycznie, przedstawiając trzeźwo a jednak barwnie rozwój jej w stuleciu bieżącem. Ciekawym dla publiczności wiedeńskiej i dla zgromadzonych w sali polaków był zwłaszcza ustęp o entuzyastkach, których program p. Daszyńska objaśniła z pełnem zrozumieniem doby dziejowej, a zarazem w związku z dążeniami współczesnemi. Przechodząc do czasów nowszych, przedstawiła obecne warunki kształcenia się kobiet w Królestwie oraz zawody stojące dla nich otworem; dalej skreśliła udział kobiet w literaturze i wpływ najwybitniejszych autorek na sprawę emancypacyi niewieściej. Obszerniejszy ustęp poświęciła działalności Elizy Orzeszkowej, której powieści, zdaniem prelegentki, pobudziły młode pokolenie kobiet w Królestwie do studyów gruntowniejszych i kształcenia się zawodowego: zwłaszcza typ kobiety ginącej w walce o byt wskutek niedostatecznego przygotowania, skreślony przez Orzeszkową w „Marcie,“ głębokie i dodatnie wywarł wrażenie na umysłach kobiecych. Dziś, zdaniem p. Daszyńskiej, kwestya kobieca w Królestwie w zasadzie jest załatwioną: nikt nie wątpi o tem, że kobieta uzdolnioną jest do pracy zawodowej i że należy jej się pełne równouprawnienie w życiu społecznem. Wyższa inteligencya niewieścia nie posiada nawet pisma własnego, wychodzi bowiem z założenia, że przeznaczone wogóle dla inteligencyi bronią dostatecznie i jej interesów.

Dzienniki wiedeńskie przyniosły obszerne sprawozdanie o odczycie p. Daszyńskiej, której wywody z pełną przyjęły sympatyą.

Stolica naddunajska radośnie wita rok 1891. W ostatnich dniach grudnia cesarz zatwierdził uchwałę sejmu dolno-austryackiego, mocą którego przedmieścia wiedeńskie połączone być mają z dotychczasowym obrębem stolicy. Doniosłość tego faktu wyświeciliśmy w chwili, kiedy minister Dunajewski wniósł w parlamencie projekt zniesienia linij akcyzowych. Losy projektu w sejmie austryackim dowiodły, jak daleko posunąć się może zgubna i rozkładowa tendencya stronnictw politycznych, walczących z sobą zawzięcie. Znalazła się w sejmie, zarówno jak w reprezentacyach gminnych, grupa ludzi, którzy z całą energią występowali przeciw myśli połączenia Wiednia z przedmieściami, broniąc rzekomo interesu ostatnich; w gruncie rzeczy szło opozycyi o to, aby stronnictwo liberalne nie położyło zasługi tak znacznej.

Dziś już czują w Wiedniu dobroczynny skutek owej uchwały. Od czasu wielkiej katastrofy finansowej zapadał on w coraz groźniejszą stagnacyę ekonomiczną. Robotnicy nie znajdowali pracy, bo kapitaliści, obawiając się niepewności przedsiębiorstw, poprzestawali na najskromniejszych dochodach, byle nie narazić swych funduszów. Obecnie już sama nadzieja rozkwitu ekonomicznego ożywia ruch handlowy. W pierwszym rzędzie rozszerzy się obecnie znacznie czynność budowlana i rozkwitną łączne z nią gałęzie przemysłu. Lecz skoro tylko Wiedeń odzyska wiarę w siebie, na każdem polu żywiej budzić się będą siły uśpione, a stolica zacznie znowu przyciągać jak dawniej tłumy gości zagranicznych. Takiemi nadziejami cieszą się przynajmniej stroskani do niedawna wiedeńczycy, którzy obecnie w zgromadzeniach publicznych, w uroczystych przemowach i w zabawach ożywionego niezwykle sezonu zimowego roznoszą radośnie hasło: Gross-Wien!

Z Pesztu donoszą o pierwszem noworocznem przyjęciu u Szaparego, jako o doniośléjszej manifestacyi politycznej. W przemowie ministra nie było wprawdzie ani wzmianki o położeniu politycznem, podczas gdy Tisza zawsze wspominał o stosunku do mocarstw zagranicznych. Zdaje się, że pokój na razie istotnie jest zabezpieczony i obecnie sprawy ekonomiczne są na porządku dziennym. W tym też kierunku odpowiedz kierownika gabinetu węgierskiego na przemowę deputowanego stronnictwa liberalnego, Ludwika Tiszy, zaznaczyła stanowisko rządu węgierskiego. Kr. Szapary wyraził nadzieję i życzenie Węgier, aby traktat celny między Austro - Węgrami a Niemcami przyszedł do skutku. Przyznał on, że węgrom wiele zależy na zdobyciu rynków niemieckich dla zboża i bydła swego, lecz że uprzystępnienie ich uzyskanem być może tylko kosztem przemysłu austryackiego, z którym niemiecki zacznie współzawodniczyć w Austryi i na Węgrzech, skoro upadną przegrody celne. Lecz w oczach rządu węgierskiego umowa z Niemcami jest „kluczem i podstawą“ do korzystnych układów ekonomicznych z innemi krajami, a skoro przemysł austryacki zdecyduje się do poniesienia ofiary żądanej przez węgrów, rząd węgierski w traktatach z Serbią i Rumunią nie stanie w drodze życzeniom swych przemysłowców. Zapowiedź uregulowania stosunków handlowo-celnych z Rumunią i Serbią na nowej podstawie jest istotnie doniosłą dla przemysłu austryackiego, który w czasach najżywszego swego rozkwitu stał głównie odbytem do tych krajów, ciążących obecnie do Francyi i Niemiec.

*L.*

---

## KAROL MARX

**w życiu prywatnem *).**

### II.

W poprzednim szkicu Lafargue skreślił upodobania umysłowe Marxa. W dalszym ciągu przechodzi on do jego życia rodzinnego i do tych chwil, kiedy autor *Kapitału* odsuwał na bok swoje książki i zajęcia naukowe, aby odpocząć w kole przyjaciół i dzieci. Stawał się wtedy jakby zgoła innym człowiekiem. Wieczorami w niedzielę zbierali się u Marxa bliżsi znajomi. Dowcip ostry, tylko gdzieniegdzie przeglądający w pracach naukowych, tryskał naówczas całymi potokami, usta nie zamykały się prawie od śmiechu, czarne oczy, ukryte pod gęstemi brwiami, iskrzyły się ironią i wesołością.

Marx był nadzwyczaj kochającym i łagodnym ojcem. „Dzieci winny kierować wychowaniem pedagogicznem swego ojca“— mawiał często. W stosunku do córek, które wprost uwielbiały go, napróżno poszukiwalibyśmy chociażby cienia powagi ojcowskiej. Nigdy im nie nakazywał, lecz prosił tylko o spełnienie swego żądania lub przekonywał. A jednakże rzadko kiedy jakiś ojciec był tak słuchany. Córki patrzyły nań jako na najlepszego przyjaciela i postępowały z nim jak z rówieśnikiem, nie nazywały go nawet ojcem, lecz „murzynem“ — przydomek, który mu nadały z powodu śniadej cery i mocno czarnej czupryny i zarostu. Marx bawił się z dziećmi przez całe godziny. Pamiętają one jeszcze dzisiaj żywo walki morskie i pożary całej floty, złożonej z okręcików papierowych, które sam robił, puszczał na wodę w zbiorniku i ku wielkiej radości maleństwa podpalał. W niedziele córki nie pozwalały stanowczo mu pracować — był ich własnością w ciągu całego dnia. Jeżeli pogoda była piękna, cała rodzina wynosiła się za miasto, po drodze odpoczywała w zwykłych knajpach, zajadała chleb i ser, zapijała piwem imbierowem. Kiedy córki były jeszcze małe, skracał im drogę, opowiadając improwizowane czarodziejskie bajki; w miarę jak zmęczenie dzieci wzrastało, gadka stawała się coraz zajmującą i pochłaniała całą ich uwagę. Wogóle Marx posiadał bogatą wyobraźnię poetycką i jego pierwsze prace naukowe są wprost poezyami, co więcej w młodości pisywał wiersze, które żona jego chowała, nikomu nie pokazując. Obiecywał on nawet córkom, że napisze dla nich dramat, do którego treść miał zapożyczyć z walki Grachów o prawa rolne. Nie dotrzymał słowa. Rzecz ciekawa, jak „rycerz walki klasowej,“ tak bowiem go zwano, przedstawiłby ten potężny i wstrząsający obraz starożytnego świata. Miał także zamiar napisania logiki i historyi filozofii — przedmiotów, któremi w młodości zajmował się gorliwie. Zresztą musiałby żyć całą setkę lat, aby urzeczywistnić wszystkie swoje projekty literackie.

*) Patrz nr. 48 z roku zeszłego.

Żona Marxa była nieodstępną a pojmującą wszystko towarzyszką życia. Małżonkowie wzrastali już razem jako dzieci, przyjaźń dziecinna przeszła następnie około 17 roku w miłość. Lecz młodzi ludzie, zanim pobrali się, musieli czekać jeszcze dziewięć z górą lat — do 1843. Żona Marxa odznaczała się nadzwyczajnym rozwojem poczucia równości, pomimo że sama pochodziła z najwyższych sfer arystokratycznych. Przy swoim stole obsługiwała z najwyższą grzecznością, jak gdyby to byli książęta, prostych robotników w codziennym ubiorze warsztatowym i prawdopodobnie niewielu z nich wiedziało, że uprzejma gospodyni jest wnuczką książąt Argyll i siostrą ministra pruskiego. Nie zawahała się ani chwili zerwać wszelkich stosunków łączących ją z rodziną i otoczeniem i śmiało udała się za mężem w nieznany świat niedostatku i protestu. Zresztą posiadała jasny i otwarty umysł. Listy do przyjaciół wylewały się z pod pióra bez najmniejszego przymusu i świadczą o niezmiernej oryginalności ducha. Heine, ów nieubłagany satyryk, wprost obawiał się najmniejszego żartu ze strony Marxa, lecz był cały przejęty uwielbieniem dla umysłu jego żony. Marx tak ufał jej krytycyzmowi i inteligencyi, że czytał jej wszystkie swoje prace i bardzo polegał na jej sądzie. Ona to zwykle przepisywała rękopisy męża do druku i wymagała wtedy odpowiednich zmian. Przeszła ona wiele, zwłaszcza po wypadkach 1848, kiedy mąż znalazł przytułek jedynie w Anglii i tutaj z całą rodziną żył w dwu niewielkich izdebkach na Deanstreet. Troje dzieci zmarło w tym okresie, głównie dzięki przykrym warunkom. Dochowała się tylko trzech córek; o jednej z nich Eleonorze, stary Marx mawiał, że chyba omylono się co do jej płci i przez pomyłkę nadano imię dziewczęce. Jest to dzisiejsza pani Avelingowa, która świeżo w dniu 4 maja odegrała taką rolę w Anglii. Zresztą do rodziny należałoby zaliczyć jeszcze jedną osóbkę — Helenę Demuth. Wieśniaczka, w młodym wieku dostała się do służby u rodziców pani Marx, później przeszła do młodych małżonków i stała się istotnym członkiem ich rodziny. Towarzyszyła im w tułaczce po Francyi, Belgii i Anglii, jej umysł praktyczny wciąż łatał dziury w budżecie domowym i troszczył się o dobrobyt materyalny. Jej usposobieniu, oszczędności, zręczności należy zawdzięczać, że rodzinie Marxów nie zabrakło rzeczy najniezbędniejszych. Umiała wszystko: gotowała i prowadziła gospodarstwo, obszywała wraz z panią Marx dzieci, które kochały też ją jako matkę i więcej niż matki słuchały. Sam Marx całemi wieczorami grywał z nią w szachy, a często przegrywał. Miłość Heleny dla Marxów była ślepa; kto krytykował Karola, temu gotowa była wydrapać oczy, każdy zaś kto raz wszedł do domu, znajdował się odrazu pod jej opieką. Przeżyła swoich przyjaciół i naturalnie przeniosła się do Engelsa, któremu narzuciła swoją opiekę i władzę.

Engelsa podobnie należy zaliczyć do rodziny, zresztą córki Marxa zwały go wprost drugim swoim ojcem. Nazwiska obu są nierozłączne, pomimo wysiłków drobnomieszczaństwa przeciwstawienia jednego drugiemu. Wywody ekonomiczne Marxa co do wartości dodatkowej jeszcze pasują do mózgów drobnomieszczańskich i zdawkowy demokratyzm może nietylko je tolerować, ale nawet popierać. Atoli część historyczna i krytyczno-codzienna jest zbyt męzką i wyraźną na hermafrodytyczny umysł drobnomieszczanina; ponieważ zaś Engels głównie ją uprawiał, przeto — obłuda wulgarnej demokracyi usiłuje przeciwstawić tego ostatniego autorowi *Kapitału*. W gruncie rzeczy była to istotna bliźnięcza spółka. „Wskutek podziału pracy, który przeprowadziliśmy, przypadła mi obrona naszych przekonań w prasie peryodycznej, podczas gdy Marx tem usilniej mógł pracować nad swojem wielkiem dziełem" — mówi Engels w przedmowie do świeżego wydania *Kwestyi mieszkalnej*. Obaj przyjaciele rozwijali się razem od młodości we wzajemnej wymianie myśli a poglądów, pospołu przyjmowali udział w wypadkach historycznych 1848 i póki razem żyli; wspólnie też pracowali. Nie ulega wątpliwości, że wspólnie wykończyliby każdą rzecz, tak iż obok Marxa na każdej pracy widniałby Engels i odwrotnie, gdyby warunki utrzymania nie rozdzieliły przyjaciół na lat 20, jednego zniewalając pozostać w Londynie, drugiego — przenieść się do Manchesteru. Duchowa jednak łączność nie ustała, codziennie niemal, za pomocą listów, porozumiewali się, jak należy oceniać bieżące fakty politycznego i ekonomicznego życia i udzielać sobie wzajemnie wiadomości o postępie, jaki uczyniły ich zajęcia naukowe. Engels, jak tylko zdołał chociażby na chwilę uwolnić się od swoich obowiązków, spieszył natychmiast do Londynu, gdzie miał stałe mieszkanie w odległości dziesięciu minut od domu Marxów. Wreszcie 1870 r. osiadł tam na stałe i nie było dnia, żeby jeden przyjaciel nie spędził u drugiego kilka godzin. Kiedy Engels przyjeżdżał z Manchesteru, u Marxów obchodzono to wprost jako uroczystość. Już zawczasu wyliczano, ile to jeszcze godzin trzeba nań czekać, sam Marx pełen niecierpliwości rzucał od rana wszelką pracę i patrzył wciąż na zegar. Przyjaciele popijając i otaczając się kłębami dymu, gwarzyli całe noce, rozpatrując systematycznie wszystkie zdarzenia, które zaszły w świecie społecznym od ostatniego widzenia się. Engels zastępował dla Marxa całą publiczność i aby przekonać go, autor *Kapitału* gotów był zagrzebać się na całe miesiące do pracy, rzucając inne zajęcia. Lafargue opowiada, jak przewertował on niemal całą bibliotekę, aby wyciągnąć stąd fakty, mające przekonać Engelsa o słuszności poglądu na pewne zresztą nadzwyczaj drobne i małoważne zdarzenie z czasów wojny przeciw albingensom. Chwalił się wprost Engelsem, podziwiał przed każdym niezmierną wszechstronność jego wiedzy, niepokoił się najmniejszym wypadkiem. „Drżę wciąż, aby go nie spotkało jakieś nieszczęście na polowaniu, kiedy zwiesiwszy cugle galopuje po polu na oślep i nie zważając na żadne przeszkody."

Marx rozpoczął swoją działalność społeczną od tego, że wystąpił jako przedstawiciel i wódz nadreńskiego mieszczaństwa radykalnego, lecz niebawem zajął inne stanowisko, na którem zyskał wszechświatową sławę. Wydalonego z Niemiec obsypano gradem pocisków, paszkwilów i oszczerstw, następnie zaś zorganizowano cały spisek — zabicia go milczeniem. *18 Brumaire*, w którym tak dosadnie skreślił ruch 1848 r. we Francyi, jakby nie istniał; podobnie zupełnie nie wspominano o *Nędzy filozofii* i o *Przyczynku krytycznym do ekonomii politycznej*. Dopiero rola Marxa w Międzynarodówce i pierwszy tom *Kapitału* złamały milczenie. Chociaż w Międzynarodówce stał on na uboczu, wkrótce zwietrzono, kto jest tutaj głównym reżyserem. Ukazanie się społeczno-demokratycznej partyi w Niemczech do reszty zwaliło to sprzysiężenie. *Kapitał* stał się według uchwały międzynarodówki *biblią najmitów*, mnóstwo sił naukowych popularyzowało wyłożono tutaj teorye, ukazywały się przekłady, podczas bezroboci w Ameryce przedrukowano całe ustępy jako ulotne świstki — niepodobna było dłużej milczeć. I znowu ukazują się paszkwile, pamflety i oszczerstwa. Pospolity demokratyzm drobnomieszczaństwa idzie ręka w rękę z krańcowym wolnohandlowcem i konserwatywnymi klechami.

Atoli udział Marxa w działalności praktycznej oddziałał ujemnie na jego zajęcie naukowe, wreszcie śmierć żony i najstarszej córki złamały go ostatecznie. Żonę kochał on tkliwie i jej cierpienia przedśmiertne skróciły niewątpliwie jego życie. Podczas jej długiej a bolesnej choroby, wycieńczony wzruszeniem, bezsennością, brakiem ruchu i świeżego powietrza, sam zapadł ciężko na zapalenie płuc, które go dobiło. Jenny Marx umarła 2 grudnia 1881, a ostatniemi jej słowami było żądanie pomocy od męża: „Karolu, moje siły nikną!" Pochowano ją na cmentarzu w Highgate, na ziemi „wyklętych" — unconsecrated ground. Po śmierci żony życie Marxa było jednem pasmem cierpień fizycznych, wreszcie wiadomość o śmierci najstarszej córki zabiła go ostatecznie. Umarł, siedząc przy pracy, 15 marca 1883 r. w wieku lat 67.

*R. K.*

---

## WIKTOR SZOKALSKI

(Wspomnienie pośmiertne).

Legł w grobie, do którego już oddawna się pochylił, nagięty brzemieniem lat i trudów. Był to rzeczywiście człowiek miłujący naukę, pracowity jej kapłan, a przytem obywatel dobry i zasłużony. Urodził się w 1811 w Sandomierzu. Ukończywszy gimnazyum w Warszawie, wszedł do uniwersytetu miejscowego. Tu zdobytą wiedzę uzupełnił w Giessen oraz w innych uniwersytetach, poświęcając się głównie okulistyce. W Paryżu, gdzie ponownie uzyskał stopień doktorski, był asystentem klinicznym, bądź studyował, bądź też wykładał oftalmologię. Obszerna praktyka nie oderwała go od czynnego współudziału w pismach naukowych. W r. 1853 wraca do Warszawy. Tu rozwija działalność bardzo rozległą, jako praktyk, kierownik szpitala oftalmicznego, profesor Akademii Medycznej, a następnie Szkoły Głównej, sekretarz Towarzystwa lekarskiego, a wreszcie jako pisarz. Obok rozpraw specyalnych, zawierających cenne spostrzeżenia i wywody, wydaje dwutomowe dzieło *Fantazyjne objawy zmysłowe*, bardzo bogate materyałem oraz *Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie* (1885). Rozbiór i ocenę tej ostatniej pracy podaliśmy w swoim czasie. Polemizując z naszym sprawozdawcą (nr. 19 *Prawdy*, 1885), tłomaczył się on: „Nie pisałem dla nauki, gdyż ta mając tysiące pracowników na swej obszernej niwie, bez mojej obejdzie się pomocy, ale pisałem dla mas, w nadziei, że może moje usiłowanie chociaż na odrobinę poziom naszego ogólnego wykształcenia podniesie." Taką wartość rzeczywiście posiadają jego książki filozoficzne. Nie są one wyrazami jakiejś oryginalnej teoryi, ale popularnymi wykładami nieraz bardzo powikłanych zagadnień wiedzy.

Nie dla przyzwoitości, ale ze szczerym żalem stajemy nad trumną Szokalskiego i w wieńce, które ją okrywają, wplatamy liść własny. Umysły oświecał, więc serca przy ostatniem pożegnaniu uczcić go powinny.

---

## PAMIĘTNIK.

Rubryka ta, zbiorowemi siłami prowadzona, zastępować będzie co dwa tygodnie *Liberum veto*.

### Dług karnawału na raty.

*Kuryery* posyłają w najdalsze zakątki kraju wesołą nowinę: „karnawał, który zapowiadał się smutnie, obiecuje być bardzo wesołym." Już nietylko ludzie ze zdrowemi krokwiami, z nogami, w których los jako kamień węgielny umieścił duszę, ale nawet paralitycy, tabotycy, podagryści, podrygują radośnie, bo — jak ktoś mądrze powiedział — my „posiadamy prawo do zabawy" — jedyne niezaprzeczone przez nikogo

a wytrwale bronione przez nas. I bóg zapust niech się nie martwi, że mu w tym roku złożymy skromniejsze ofiary. Chociaż bowiem, ze względu na nędzę ogólną, postanowiono hulać pod godłem „oszczędności," ale „o ile zabawy będą oszczędne, o tyle częściej mogą się powtarzać." Bachus odbierze od tańczących Satyrów swój dług, tylko ratami. Wobec trudności wypłat nawet tego rodzaju, powinien on być wyrozumiałym, zwłaszcza że mu nic nie przepadnie. *O.*

### Wlazł na gruszkę...

Uczynił to p. L. Grendyszyński w *Kuryerze codziennym* dla zasiania noworocznej pietruszki. Zauważył on, że „żywimy się tandetą i produkujemy tandetę," że „snujemy wątek szary i nikły," że „zaplątaliśmy się w labiryncie prywaty," że „wszystko scherlało, zniżyło się, staniało i scichło" — itd. „Lat temu dwadzieścia — wszystko to mówi p. L. Grendyszyński — użyto wiedzy pozytywnej za hasło nowego programu społecznego, wzięto ją za narzędzie dla celów *praktycznych...* Szumne hasła dziennikarskie okazało się w końcu *blichtrem*, a miejsce poważnej nauki zajęły jej *surogaty...* Są nimi liche streszczenia prac naukowych w kilku pismach i tłomaczenia dzieł naukowych obcych, wybieranych bez znajomości rzeczy i bez żadnej myśli przewodniej." Wszakże „z kilku drobnych, ale znacznych objawów p. L. G. wnosi, że pragnienie i zamiłowanie do wiedzy gruntownej wzrosło u nas w ostatnich kilku latach" i że „jesteśmy w przededniu nowej ery."

Musielibyśmy wleźć na tę samą gruszkę, z której orzeł *Kuryera* ogarnął bystrym wzrokiem dwudziestoletni nasz rozwój społeczno-umysłowy i całe pole obecnego życia, ażeby jednocześnie dostrzedz i „szarobladą treść kilkoletniego dorobku" i brzask „nowej ery." Jest to wszakże dla nas wyżyna za wielka, jak wnosimy stąd, że stojącemu na niej hasła wiedzy pozytywnej wydają się „blichtrem," a te oryginalne i tłomaczone dzieła, które my uważamy za źródła gruntownej wiedzy — jej „surogatem." Dla ilustracyi tego okrutnego wyroku dodamy, że sam sędzia nie zbogacił dotąd nauki polskiej nawet „surogatem" i że prawdopodobnie da przykład „niepokalanej cnoty wiedzy czystej" w roku bieżącym, w którym ma się spełnić jego proroctwo co do „nowej ery." Zwiastowanie i niepokalane poczęcie mamy — więc czekajmy narodzin mesyasza. *H.*

### Obecny prezes przeciw byłemu radcy.

Stał się cud, niewielki, ale uwagi godny. *Słowo*, którego redaktorem jest były radca Towarzystwa kredytowego ziemskiego, p. M. Godlewski, oburzył się na mianowanie radcy Choromańskiego urzędnikiem tej instytucyi. Przeciw takiej „napaści" wystąpił na miejscu jej spełnienia z ostrym listem „zgorszony" prezes komitetu Towarzystwa, p. L. Górski. „Byłeś — pisze on do winowajcy tonem ojcowskiego napomnienia — przez lat 10 radcą Dyrekcyi głównej i w jej pracach czynny i bardzo użyteczny brałeś udział. Znasz zatem wewnętrzną organizacyę Towarzystwa i ducha, która niem stale od lat wielu kierowała. Najprzód zatem widzę *potrzebę* upewnić pana, że od czasu *nowych* w r. b. wyborów nic się w tym względzie nie zmieniło." Z tej „potrzeby" czytelnik łatwo wyłuska delikatną złośliwość. Prezes mówi do b. radcy: chociaż przepadłeś na wyborach, nie znaczy to, ażeby grono, do którego należałeś, wraz z tobą straciło moralność. Gdyby p. Godlewski był przewidywał możliwość takiego przygryzka, dawniej jako radca i redaktor *Słowa* byłby się zapewne ubezpieczył jakąś krytyką działań Towarzystwa i zapytał je bodaj raz: „jakiem prawem?" Ale on nie przeczuwał, że kiedyś przestanie być radcą, a będzie redaktorem i że znajdzie się wobec „trudnego do uniknięcia następstwa sytuacyi." Wyrażeniem kondolencyi zakończylibyśmy tę wzmiankę, gdyby p. Górski poprzestał na napomnieniu b. radcy i nie zakreślił granic krytyce prasy. „Wnikać w pobudki wewnętrznego postępowania władz Towarzystwa, żądać wyjaśnienia szczegółów osobistości dotyczących, *tem bardziej* mieszać się do nominacyi urzędników, tego dziennik *życzliwy* dla Towarzystwa, a *zwłaszcza* (!) przejęty właściwem zrozumieniem publicznego dobra czynić nie powinien." Co uczynić ma „dziennik życzliwy dla Towarzystwa," nie badamy, bo musielibyśmy znać warunki i obowiązki tej roli; ale pozwolimy sobie wbrew twierdzeniu p. Górskiego sądzić, że organ „przejęty właściwem zrozumieniem dobra publicznego" może i powinien mieszać się do „wewnętrznego postępowania władz Towarzystwa i do nominacyi jego urzędników" — z tej niezmiernie prostej i wszelkie wątpliwości usuwającej racyi, że Towarzystwo jest instytucyą publiczną, a nie klubem szlacheckim. Ono zarządza olbrzymim majątkiem społecznym, nie może więc mieć żadnych spraw domowych i prywatnych. A jeżeli panowie radcowie chcą się osłonić takim przywilejem, niech nie żądają, ażeby ćwiartki i skrawki papieru, wypuszczane w obieg z ich podpisem, ogół przyjmował jako pieniądze, lecz widział w nich kwitki wątpliwej wartości. *H.*

### Gazeta warszawska.

„Na progu nowego roku" *Gazeta warszawska* opowiedziała swoje 117-letnie dzieje, zakończywszy je uwagą, że „była od dawna i jest organem umiarkowanie liberalnym." Co do *jest* prawie zgoda, ale co do *była* — nikt chyba tego zapewnienia nie potwierdzi. Przeciwnie *Gazeta warszawska* była organem skrajnie konserwatywnym z pręgami liberalnymi Keniga w polityce zagranicznej. Nie myślimy jej wszakże wymawiać przeszłości i wolimy powinszować teraźniejszości. Wolimy zaznaczyć, że nie stała się ona martwą mumią, lecz pomimo sędziwego wieku i krępujących tradycyj organem żywym i do wymagań czasu zastosowanym. Śród naszych gazet zajęła ona znowu pierwsze miejsce powagą, niezależnością zdania, gruntownością sądu i starannością redakcyi. W tęczy jej „umiarkowanego liberalizmu" rozumiemy wszystkie barwy, ale co w niej robi barwa korespondenta rzymskiego — pojąć trudno. Mąż ten spóźnił się na świat nie o lat sto, ale o pięćset. Gdyby w wieku XIV wychodziła była *Gazeta warszawska*, a on do niej pisywał, znalazłby czytelników zachwyconych opowieściami o cesarzu Auguście, który miał wznieść ołtarz „na cześć dziecięcia, zwiastowanego przez sybillę kumejską i... Wirgiliusza w skotopastce do Poliona," o „cudownym śniegu... w sierpniu" itp. Wiadomo, jak klerykalne mrowiska w Rzymie, zysku chciwe a często biedne, wyzyskują pobożnem kuglarstwem ciemną ludność. W jednym z kościołów tamtejszych znajduje się posążek „cały lśniący od pereł i brylantów," który ma uzdrawiać konających i który księża za opłatą wożą do chorych. Otóż korespondent otrębuje następujący cud: „Wdowa z Turynu, należąca do *wyższego towarzystwa i wielce zamożna*, mieszkająca w Rzymie przy *Corso*, miała córkę jedynaczkę Lizę, nader piękną, dwudziestoletnią pannę, która śmiertelnie zachorowała przed dwoma tygodniami na zapalenie wnętrzności(?). Wkrótce choroba się wzmogła, lekarze oświadczyli, że niema już nadziei ocalenia chorej... Liza straciła przytomność i liczono już godziny jej dogorywającego życia. Wtedy pobożna matka, przypomniawszy sobie w swej rozpaczy nadchodzące Boże Narodzenie i cudowną figurę *Bambina* z *Ara Coeli*, posłała czem prędzej po nią. Wkrótce nadjechała *paradna kareta*, z której wysiedli dwaj zakonnicy niosący relikwię, którą złożyli przy konającej na łóżku, odmawiając głośno litanie i modlitwy, razem z matką i domownikami. Podczas tych modłów chora odzyskała przytomność, ucałowała Dzieciątko, a *we dwie godziny* po odjeździe bernardynów zawołała znienacka: Mamo, jestem zdrowa! Jakoż doprawdy zdrowa była zupełnie i *w kilka dni* pojechała osobiście z uszczęśliwioną i rozrzewnioną matką do *Ara Coeli* na *świetne* dziękczynne nabożeństwo, które zamówiły."

„A uczyniwszy bicz z powrózków — opowiada ewangielista — wszystkie wygnał z kościoła, i owce i woły; a tych, co pieniędzmi handlowali, pieniądze rozsypał i stoły poprzewracał."

Biegłym w Piśmie dajemy do rozstrzygnięcia pytanie, jak postąpiłby Chrystus, gdyby spotkał swój posążek, „cały lśniący od pereł i brylantów," wieziony w „paradnej karecie" dla wykonywania czarodziejskich praktyk? Według nas „uczyniłby bicz z powrozków" daleko grubszych, niż te, których użył przeciw handlarzom wołów, owiec i gołębi. *K.*

### Biblioteka warszawska.

Będąc od urodzenia starą, w 25 rocznicę swego istnienia postanowiła zostać młodą. Czy nowe wino w dawnym worze nie nabierze smaku poprzedniego, który trącił myszką, nie wiemy. Ogłoszono bowiem tylko, że redakcyę objął p. Weyssenhof, który podobno zgromadził grono sił żwawszych niż dotychczasowe. Ponieważ przyszłość *Biblioteki* jest jeszcze białą kartą, rzućmy więc okiem na jej 25-letnią przeszłość. Być może, iż założycielom tego wydawnictwa świtały inne jeszcze idee, niż te, które były promieniami jego gwiazdy przewodniej w późniejszych latach. Jeżeli wszakże bez nadmiernej domyślności i złudzeń rozpatrzymy ćwierćwiekowy żywot *Biblioteki*, przedstawi ona się nam jako skrzętny i poważny archeolog, niespieszący się za postępem czasu, narzekający na jego ruchy zbyt gorączkowe, zamiłowany w pojęciach i zasadach starodawnych. Ze szczególną skłonnością do badań historycznych, ze czcią dla postaci życia umierających lub umarłych łączyła ona niewiarę do prądów i haseł nowych. W ostatnich latach zaczęła skrzętniej regestrować fakty chwili bieżącej, nie było to wszakże odradzanie się, ale raczej wzmocnienie czynności kronikarskiej. Była *Biblioteka* wydawnictwem poważnem, niespekulacyjnem, dla nauki owocnem, ale jej zasługi nie sięgały po za granicę doniosłości szeregu rozpraw naukowych w duchu konserwatywnym. Na walkę i przerabianie się pojęć wpływała bardzo mało, zachowując stanowisko akademickie. To też historya literatury rozbierze ją na części i każdej taką lub inną wartość przyzna, o całości zaś niewiele będzie miała do powiedzenia. *S.*

### Mieszkania stróżów.

Ciemne, zimne, zatęchłe, wilgotne nory, służące za mieszkania stróżom większej części naszych domów — wołają o pomstę do jakiejkolwiek sprawiedliwości. W takich warunkach nie żyją bardziej cenione zwierzęta. Oto niektóre szczegóły ze sprawozdania policyi, która w tych dniach dokonała rewizyi:

Pod nr. 1-ym na Krakowskiem-Przedmieściu mieszkanie dla stróża zrobione jest *z desek*; pod nr. 3-im na Trębackiej mieści się w drewnianej zimnej *komórce*: podobnież pod nr. 7-ym na tej ulicy, a pod nr. 9-ym na Trębackiej w ciemnym, wilgotnym pokoju, i w *sąsiedztwie ustępu*. Na Freta pod nr. 53 w drewnianej komórce; pod nr. 49-ym tak wilgotne, iż *czworo dzieci* jest chorych; pod nr. 48-ym w komórce pod schodami, 4 arszyny długiej i 1 1/2 arsz. szerokiej i 2 1/2 arsz. wysokiej; pod nr. 39-ym w ciemnej komórce między 1-em a 2-em piętrem. Na Ogrodowej: pod nr. 16-ym w ciasnej suterenie, a pod nr. 22-im w ciemnej także suterenie; na Solnej pod nr. 17-ym ciemna izba pod schodami; na Lesznie pod nr. 45-ym *bez pieca*, ciasne, a pod nr. 49-ym pod schodami w ciemnej i zimnej komórce. Na Białej: pod nr. 8-ym stare, drewniane i zimne; pod nr. 7-ym przy ustępie, ciemne, wilgotne; na Żelaznej pod nr. 78-ym bardzo ciemne pod schodami, pod nr. 76-ym wilgotna suterena; na Żórawiej pod nr. 28-ym w wil-

potnej ciemnej piwnicy; na Świętokrzyskiej pod nr. 9-ym, w fatalnych warunkach sanitarnych.

Zatem projektowane, powinno być poważnie uorganizowane Towarzystwo opieki nad ludźmi. Dola zwierząt już znacznie się poprawiła.

### Artykuł zbytkowy.

Naszej socyologii domowej nie można odmówić tego przymiotu, że jej częściowo poglądy logicznie.. rymują się. Tam, gdzie sucha, ciepła i oświecona izba jest zbytkiem dla stróża, całkiem konsekwentnie mięso powinno być zbytkowym artykułem żywności dla niższych warstw społecznych. Dowiedzieliśmy się wszakże o tem dopiero z Kozienic za pośrednictwem *Kuryera warszawskiego*. Tamtejszy burmistrz, zauważywszy, że rzeźnicy miejscowi skutkiem zmowy dostarczając za mało mięsa, usiłowali podnieść jego cenę, spisał protokół i wprowadził sprawę na drogę sądową. Sędzia śledczy jednak nie uznał w postępowaniu rzeźników cech przestępstwa, gdyż art. 913 i 1180 ustawy karnej wyznaczają karę tylko za zmowę co do artykułów spożywczych i towarów pierwszej potrzeby. „Ponieważ zaś ludność chrześciańską Kozienic składają krajowcy, dla których przedmiotem pierwszej potrzeby są kartofle, bynajmniej zaś nie mięso, przeto upatrując nawet w danym wypadku zmowę...“ nie można karać rzeźników. „Mięso dla mieszkańców Kozienic jest takim samym zbytkiem, jak dla mieszkańców innych krajów: homary, ostrygi itp.“ Burmistrz nie zgodził się na ten sąd Dyogenesowy i przesłał protokół prokuratorowi. Pomimo całego szacunku dla kartofli i wdzięczności dla Fr. Drakego, nie możemy się również zgodzić na taki hygieniczno-prawny pogląd nawet dla Kozienic. *Z.*

### Modrzejewska.

Najjaśniejszą „gwiazdą“ tegorocznego karnawalu będzie niewątpliwie Modrzejewska, która przybyła do Warszawy na szereg występów i którą reporterzy przywitali po swojemu: „potęga genialności wyryta na jej czole... czaruje każdego, porywa w krainę piękna,“ „patrząc na potęgę ducha, wcieloną w artystyczne kształty, czujesz, iż tłumy nie będą w stanie pohamować wezbranych uczuć uwielbienia“ (ciekawa rzecz, co zrobią?), „kostium *drap des dames*,“ „stanik *a la Maria Stuart*,“ „silny katar“ itd. To wszystko mniejsza, ale już „powstał projekt powitania gościa wielką ucztą.“ Masz tobie! Znowu więc będzie zapamiętałe jedzenie, znowu niestrawność mózgów, objawiająca się w okrzykach na cześć „przewodniczki naszej młodzieży“ itd. Naturalnie nie będzie to winą Modrzejewskiej, która wcale nie wymaga, ażebyśmy jej pod stopy ciskali nasze rozumy.

---

## Z D A L A.

Filantropia na usługach wychodźtwa. — Organizacya zalewnictwa (irygacyi) w kraju zakaukazkim. — Stróże polowi. — Niedobory finansowe ziemstw. — Sprzymierzone siły w walce przeciw pijaństwu.

Jedną z najważniejszych spraw życia społecznego w Rosyi, mianowicie sprawę wychodźtwa ludu do Syberyi, krajów zakaspijskiego, usuryjskiego i zakaukazkiego, pomoc państwowa omija, to też z podaniem ramienia opuszczonemu wychodźcy pośpiesza prywatna dobroczynność. Nowozawiązane w Petersburgu Towarzystwo filantropijne podejmuje się właśnie tej roli i zamierza uzupełniać środki pieniężne, wydzielane przez skarb w ograniczonych rozmiarach. Z ustawy tej instytucyi, zamieszczonej w gazecie *Ruskija Wiedomosti*, widać, że w program działalności towarzystwa wchodzi zakładanie w punktach stoku wychodźców — przytułków nocnych, kuchni tanich i ambulatoryów. Nadto, jest zamiar udzielania zapomóg i pożyczek emigrantom będącym w drodze oraz tym, którzy obrali już sobie nowe siedziby. Następnie towarzystwo zawiązywać będzie stosunki z pokrewnemi sobie instytucyami dobroczynnemi, którym ma dopomagać. W skład towarzystwa, prócz jego dwunastu założycielów, wchodzi nieograniczona liczba honorowych i rzeczywistych członków. Pierwszeństwo mają osoby, które sprawie wychodźtwa wyświadczyły znaczne usługi pracami naukowemi, działalnością praktyczną lub ofiarami pieniężnemi niemniej nad 1,000 rs. Członkowie rzeczywiści opłacają rocznie 10 rs. Środki towarzystwa, prócz opłat członkowskich, składać się będą z ofiar i składek wnoszonych do skarbonek towarzystwa, jego filij i zakładów naukowych; dla zbierania ofiar członkowie zaopatrzeni będą w stosowne książeczki; nareszcie, jako ostatnie źródło dochodów, naturalnie, będą widowiska, koncerty, odczyty itp. sposoby wzruszania serc ofiarnych... Działalność swoją towarzystwo, zgodnie z ustawą, rozpocznie dopiero z chwilą, kiedy roczny jego dochód dosięgnie 1,000 rs., czyli wtedy, gdy będzie rozporządzać przynajmniej 100 członkami rzeczywistymi.

Od tego skromnego przedsięwzięcia przenoszę się myślą po za grzebień Elbrusa i Kazbeka, skąd przed okiem mojem rozpościera się inny, imponujący szerokością i siłą widok. Chcę mówić o państwowej organizacyi zalewnictwa (irygacyi) pól kraju zakaukazkiego. Wschodnia jego część, jak wiadomo, należy do tych obszarów azyatyckich, gdzie osiadłe życie człowieka nie daje się pomyśleć bez sztucznych nawodnień pól. To też gospodarstwo irygacyjne tego kraju datuje się od chwili pierwszych osad ludzkich i sięga czasów głębokiej starożytności. Szczątki olbrzymich budowli irygacyjnych, dziś tam napotykane, świadczą, iż rozległe stepy rozpościerające się w dolinie Kury i Araksu, były niegdyś dostępne dla życia osiadłego. Obecnie służą one za miejsce koczowisk zimowych i od wiosny do jesieni nużą oko spalonemi przez słońce pustyniami martwemi. Dla tego też wniesiony tego roku do ministeryum dóbr i rozpatrzony już w połączonych departamentach Rady państwa projekt gospodarki irygacyjnej w tym kraju, jest doniosłym krokiem w sprawie dźwignięcia jego kultury. Projekt dąży do uregulowania zalewnictwa zakaukazkiego pod dwoma względami; z jednej strony usiłuje uporządkować prawo własności prywatnych osób na wodę, a z drugiej zaprowadza nowe instytucye do spraw irygacyjnych, dodając do tego przepisy, określające dotychczasowe prawa użytkowania wody irygacyjnej. Nie wdając się dla braku miejsca w te ostatnie, zatrzymam uwagę czytelnika tylko na samej organizacyi. Zawiadowstwo wszelkich spraw wodnych kraju polecone jest inspektorowi wód; zawiadowstwo zaś urządzeń irygacyjnych znajduje się w ręku inżenierów-hidraulików. Inspektor ma do pomocy kancelaryę i juris-konsulta, a inżenier-hidraulik — konduktora. Inspektor ma dozór nad prowadzeniem robót inżenierów-hidraulików, rozwiązuje kwestye, wynikające z niedokładności praw obowiązujących, rozdziela okręgi wodne na sekcye, wydaje świadectwa na prawo użytkowania wody irygacyjnej itd. Co rok pod jego przewodnictwem i z udziałem radcy prawnego odbywa się w Tyflisie zjazd inżenierów hidraulików celem rozpatrzenia próśb i wydawania pozwoleń na spuszczenie nadmiernej wody, przeprowadzenie poszukiwań irygacyjnych, dla zatwierdzenia projektów i kosztorysów ulepszeń systematu kanałów, oraz zbudowania nowych wodozbiorów i innych budowli irygacyjnych itp. Inżenier-hidraulik niezależnie od spełniania obowiązków wynikających z techniki irygacyjnej, zasiada jeszcze w charakterze przewodniczącego w „komisyach okręgowych do spraw wodnych,“ gdzie są pierwszą instancyą w załatwianiu sporów o wodę. Drugą instancyą w tej mierze jest „główna komisya,“ złożona z prezesa (którym jest członek izby sądowej w Tyflisie), z radcy prawnego do spraw wodnych, członka z ramienia głównego naczelnika kraju i z jednego inżeniera-hidraulika. Wyroki głównej komisyi są ostatecznymi. Zawiadowstwo zaś sprawami każdego okręgu irygacyjnego powierzone jest radzie złożonej z wybrańców uczestników w użytkowaniu wody, wójtowi okręgowemu (*mirabu*), dozorcom kanałów (*dżuwarom*) i starostom wodnym. Wspaniała i niewinna machina — na papierze...

Inna znów instytucya — stróżów polowych — której projekt dostał się już podobno do Rady państwa, jeśli wejdzie w czyn, poprowadzi dalej sprawę ścisłych rozgraniczeń między „mojem a twojem“ i będzie służyła do wdrożenia zasady prawa własności prywatnej, jednostronnie dotychczas rozwiniętej u chłopa. Stróże polowi mają być zaporą przeciwko szkodom w posiewach i łąkach, zrządzanym w ostatnich czasach przez bydło chłopskie coraz częściej. Przepisy odnośne, opracowane przez ziemstwa, są wysoce charakterystyczne swem piętnem klasowem, bo wkładają obowiązek strzeżenia miedzy dworskiej przed owcą i krową chłopską — na włościan. Tych ostatnich powinnością będzie utrzymywanie dostatecznej liczby stróżów. Za każdą więc szkodę odpowiadać mają nie pojedynczy winowajcy, lecz ogół włościaństwa solidarnie. Same zaś wykroczenia pod tym względem podniesione są (w żądaniach ziemian) do potęgi przestępstw kryminalnych, pociągających za sobą surową karę. Na usprawiedliwienie trzeba dodać, że gubernialne zebrania ziemstw, składające się przeważnie z wielkich właścicieli gruntowych, w olbrzymiej większości oświadczyły się przeciwko przepisom w tak krańcowej formie. Jest też nadzieja, że i sfery prawodawcze nie uświęcą egoizmu klasowego w tak cynicznej postaci i nagięcie chłopa do pokory przynajmniej z tej strony omyli nadzieję „Kołupajewów“ i „Razuwajewów.“

Skarbowość ziemstw ruskich przebywa ciężki zastój. Prawie na każdem zebraniu wypada radcom potrącać o sprawę wyczerpania się zasobów kasowych. Nauczyciele, felczerowie, lekarze itp. całymi miesiącami nie otrzymują pensyj. Członkowie zarządu ledwie dla *siebie* znaleźć mogą dostateczne środki utrzymania. Wobec takiego stanu rzeczy jedyną ucieczką są: pożyczka z własnej kieszeni członków, kredyt prywatny lub napoczynanie kapitałów żywnościowego i asekuracyjnego. Badając przyczyny, *Dień* przychodzi do przekonania, że tkwią one w systemie poboru podatkowego. Polega on na tem, iż podatki ziemskie głównie są czerpane z własności gruntowej, gdyż dochody przemysłowe i handlowe, skutkiem uprzywilejowanego stanowiska, prawie zupełnie są wolne od tego ciężaru. Ale z powodu „różnych okoliczności“ głównym punktem ciężkości są kieszenie chłopskie. Wielcy właściciele, ponieważ są opodatkowywani na zasadzie ich własnych wskazówek, których ziemstwa skutkiem braku danych statystycznych nie mogą sprawdzać — zsuwają z swych pleców zręcznie brzemię. Przytem znów jest jeszcze mała niedokładność. Obowiązek ściągania podatków spoczywa na ogólnej policyi. „Ale — powiada *Dień* — agenci policyi i wiejskie władze bardziej dbają o podatki państwowe, niż ziemskie. Ze ściągniętych podatków przedewszystkiem potrącana jest suma niezbędna dla pokrycia opłat skarbowych i dopiero resztki ich idą do rozporządzenia ziemstwa. W ten sposób niedobory ziemskie pojawiają się w takich rodzinach włościańskich, któreby ich nigdy mieć nie powinny.“

Ten to zapewne wzgląd skłonił gubernatora smoleńskiego do przyjęcia czynnego udziału w walce z pijaństwem ludowem i mocno zachwianą sprawę trzeźwości podatników szczęśliwie połączyć z interesem skarbu. Stosownym okólnikiem wezwał on naczelników ziemskich do gorliwego tępienia skłonności alkoholicznych u chłopów. Według brzmienia tej odezwy, naczelnicy ziemscy, „uzbrojeni całym rynsztunkiem władzy," winni przeciwdziałać pijaństwu wpływem moralnym, tam zaś, gdzie jego granica się kończy, „surowymi środkami potęgi władzy." W razie gdyby zdybali chłopa na poczęstunku z okazyi ferowania wyroków gminnych, winni pociągać do odpowiedzialności równie częstujących jak i częstowanych; przestrzegać, żeby nadwyżki pieniężne z budżetów rocznych itp. niepodzielnie szły na zaspokojenie potrzeb ogólnych, nie zaś były obracane na orgie społeczne, żeby sądy włościańskie nie puszczały bezkarnie pijaństwa itd. Do walki z niebezpiecznem złem należy powołać: kler wiejski, nauczycieli ludowych i szlachtę; środkami moralnego wpływu powinny być: spowiedź, zmniejszenie szynków z mocy postanowień gmin, towarzystwa wstrzemięźliwości, odczyty niedzielne, zwiększenie szkół, zakładanie bibliotek itp. Tak więc — niema tego złego, coby na dobre nie wyszło: niedobory państwowe, tj. materyalny interes, przedstawia przykład sprzymierzenia się z moralną pobudką walki.

*Z. Atanazy.*

---

## O PRAWDĘ.

W nr. 32 r. z. *Prawda* umieściła artykuł p. Leona Winiarskiego p. t. „Listy społeczno-polityczne o Francyi." W imię godła tygodnika waszego, a stosownie do zwyczajów dziennikarskich, nie odmówicie mi, Panie Redaktorze, zamieszczenia kilku poniższych uwag nad tym artykułem.

Przedewszystkiem chodzi mi o podkreślenie pojęć p. W. o wolności sumienia, uważanego zawsze za podstawę wszelkiej swobody. Najogólniejsze określenie tego pojęcia będzie następne: „wolność sumienia—to prawo wierzenia w co się podoba lub niewierzenia w nic, oraz propagowania swoich poglądów i postępowania stosownie do nich... byle bez krzywdy innych." To określenie koniecznie przypuszcza swobodę kultu, tj. prawo spełniania obrządków religijnych itd., słowem, tego wszystkiego, co się znajduje w związku z ustawami wyznaniowemi. Nie ulega wątpieniu, że zasada wolności sumienia jest ustawicznie gwałconą we Francyi, chociaż konstytucye wszystkie uroczyście ją zatwierdzały; gwałty owe dzieją się niby w imię dobra ludu pod hasłem wyzwolenia jego z pęt niewoli klerykalnej, ucywilizowania itd., ale cel nie uświęca środków. Cóżby powiedziano, gdyby Francya w Algierze zaczęła prześladować mahometan? A jednak podobne prześladowania nazywają się chwalebnemi, gdy w imię liberalizmu rzekomego są skierowane przeciwko katolikom. Niegdyś katolicy w imię podniosłych ideałów gnietli swych przeciwników, dziś bezwyznaniowcy gniotą katolików. Zmieniły się formy, ale treść pozostała niezmienioną: dotąd uważa się bowiem możebnem narzucać z góry albo pewne formy wierzeń religijnych, albo nakazywać ich negacyę *). Jest to, jak widać z artykułu, pogląd p. Winiarskiego. „Władza państwowa w ręku demokracyi miejskiej byłaby tą dźwignią, którąby... oświeciła chłopstwo i uwolniła je z pod ogłupiającego i demoralizującego wpływu czarnej międzynarodówki" — mówi autor. I ja pragnę wprawdzie oświecenia i wyzwolenia chłopstwa z pęt klerykalnych, chociaż nie zawsze mogę nazwać wpływ duchowieństwa „ogłupiającym i demoralizującym," ale rzecz nie w tem; idzie o sposób postępowania. P. W. oświadcza się stanowczo za tępieniem tych wpływów przy pomocy policyi i żandarmów, albowiem stanął w obronie prefekta departamentu Haute Marne'y, który wprowadził nauczycieli świeckich do szkoły miasteczka Vicq przy pomocy wojska, bo ludność miejscowa opierała się temu *). Stał się niewątpliwy gwałt, acz zupełnie legalny, gwałt, mówię, bo trudno zaprzeczyć rodzicom prawa wychowania dzieci w tych zasadach religijnych, które wyznają sami. Chłopi bronili wolności sumienia i za to p. W. nazwał ich „dziczą"! Mam zatem prawo powiedzieć, iż podług autora wolność sumienia sprowadza się do swobody negacyj wierzeń religijnych oraz jej propagandy... chociażby nawet za pomocą bagnetów... Wolność sumienia, której warunkiem nieodzownym jest rozdzielenie kościoła i państwa, prowadzi *koniecznie* do uznania świeckości i bezwyznaniowości szkoły, ale ta okoliczność bynajmniej nie daje prawa do narzucania gminom poszczególnym takiego lub owakiego systemu szkolnego: przymus w takich razach jest nader wstrętny, a często przytem nie daje pożądanych owoców. Źródłem podobnych przekonań i postępków odpowiednich jest wiara w przedmiotowość szczęścia, zasadnicza podstawa metafizyki politycznej; pojęcie tej przedmiotowości musi nieodzownie prowadzić do wiary w możliwość jego narzucenia z góry. Zamiast usuwania warunków, które uniemożliwiają jednostce być szczęśliwą po swojemu... byle bez krzywdy innych, każą jej być szczęśliwą bądź podług recepty p. Clemenceau et C-nie, bądź hr. de Muna. Przedmiotowość szczęścia, wiara weń — to straszna zasada. W imię jej inkwizycya spaliła na stosach tysiące niewiernych, bo chciała im narzucić z góry zbawienie; w imię jej popełniono tysiące najohydniejszych zbrodni. W imię tej zasady popierają się pojęcia prawa, sprawiedliwości, swobody; w jej imię dręczą nasze dzieci w szkołach niemieckich...

P. L. W. zdobył się na otwarte przyznanie, chociaż zaprawione niewłaściwą ironią, że przeciwnikom dzisiejszego stanu rzeczy we Francyi dzieje się krzywda: „nie ulega wątpliwości, iż padliście jej (tyranii) ofiarą, ale dlatego właśnie niechaj będzie błogosławiona. Jest to dyktatura Paryża nad prowincyą. Dyktatura zbawienna"! Więc tyrania jest błogosławioną, a zatem i usprawiedliwioną, gdy dotyka przeciwników politycznych! Tyrania jest środkiem uszczęśliwienia ludu, a jam mniemał, że nic i nigdy jej nie usprawiedliwi. To zdanie podzielali najwięksi teoretycy, piszący o swobodzie, np. Mill.

(D. n.).
*J. W.*

*) Nic o tem nie słyszeliśmy. *Red.*

*) Zwracamy uwagę autora, że ludność również *opiera się* przymusowi szkolnemu. Cóż państwo ma czynić? *Red.*

---

## KRONIKA.

**Wychodźstwo.** Od ruskiego konsula generalnego w Buenos-Ayres nadeszły wiadomości, wyjaśniające ruch emigracyjny w Królestwie Polskiem. Okazuje się, że sam rząd rzeczpospolitej Argentyńskiej wszelkimi środkami dopomagał temu w celu powiększenia własnej ludności, która obecnie nie przewyższa 3.500,000. Niedawno ogłoszono prawo, zniewalające większych właścicieli ziemskich rzeczpospolitej, albo do tworzenia ferm i działek rolniczych szczególnie w pobliżu kolei żelaznych, albo do sprzedaży w tym celu gruntów swoich rządowi. Pierwszymi kolonistami z Rosyi, którzy się osiedlili w Buenos-Ayro i Santa-Fe, byli wychodźcy niemieckich kolonij menonitów w Rosyi południowej. Emigracya wzmogła się szczególnie od r. 1879, kiedy w Entre-Rios powstała pierwsza kolonia z 500 wychodźców ruskich. Obecnie takich kolonij jest tam 23 z 15,000 mieszkańców. Znaczna liczba wychodźców ruskich jest także w innych prowincyach.

— Z Poznania donoszą, iż w okręgach: inowrocławskim i strzelneńskim wzmógł się znacznie ruch emigracyjny do Brazylii. Skutkiem tego policya pociągnęła do odpowiedzialności karnej dwóch agentów z Amsterdamu.

— Landrat ze Strzelna ogłasza, iż *Lloyd* północno-niemiecki zobowiązał się wobec kanclerza państwa, że w przyszłości nie będzie poddanych niemieckich przewoził parowcami swymi do Brazylii.

— W Poznańskiem na polu w pobliżu Gniewkowa zmarzła kobieta z Królestwa, pragnąca dostać się *pieszo* do Bremy. Dwoje dzieci jej, zupełnie skostniałe, przywołano do życia. Opowiadały one, iż matka usiłowała je udusić, iżby nie pomarły śmiercią głodową.

**Sprawy społeczne.** Projekt opodatkowania biletów loteryjnych na rzecz szpitalów warszawskich wszedł już na drogę urzędową. Według obliczenia *Medycyny*, źródło to da 190,000 rs, rocznie.

— Warszawski lombard akcyjny postanawia otworzyć trzecią filię w dzielnicy robotniczej, dla udzielania pożyczek na zastawy małowartościowe. Powstanie także lombard w Łodzi.

— *Now. Wr.* pisze, że sprawę przekształcenia domów wychowawczych ostatecznie rozstrzygnięto w radzie opiekuńczej i przyjęto wprowadzenie tylko jawnego przyjmowania dzieci nieprawych. Dzieci ubogich będą tylko wychowywane kosztem skarbu.

— Ochrona katolicka w Łodzi miała w r. z. dochodu 3,540 rs., rochodu 2,071. Dzieci otrzymują pożywienie i raz na rok ubranie.

— Udzielono pozwolenie na otwarcie w Warszawie prywatnego przytułku położniczego przy ul. Szpitalnej.

— W Gdańsku powstało towarzystwo dla zwalczania włóczęgostwa.

— W Przemyślu utworzył się „ring" rzeźników, który podniósł ceny mięsa o 10 centów na kilogramie.

— Antoni Biliński złożył na ręce prezydenta m. Lwowa 185,500 złr. w papierach wartościowych na założenie i utrzymanie zakładu dla nieuleczalnych rekonwalescentów. Prócz tego ofiarował na ten cel własną kamienicę i 40,000 złr. na zbudowanie jednego pawilonu szpitalnego.

— Minister spraw wewnętrznych zatwierdził nową ustawę kasy zasiłkowej dla zecerów w Petersburgu.

— Z Wiednia donoszą, iż fundacyę Hirscha zatwier- [illegible]

— Kardynał Lavigerie ustanowił w Biskrze 50-ciu misyonarzy, którzy po wyuczeniu się narzecza gudeńskiego mają rozpocząć działalność misyjną w Saharze.

— W Londynie, skutkiem ciężkiej zimy i wywołanego przez to zastoju, w dzielnicy roboczej, Ostend, panuje straszliwa nędza; 90,000 ludzi jest bez chleba, przytułki oblężone, gromady robotników nocują pod mostami i na placach.

— Organ Crispiego, *Riforma*, ostro wystąpił przeciwko naznaczeniu przez papieża drobnej opłaty na służbę za wejście do muzeów watykańskich. Pismo grozi odebraniem muzeów w zarząd państwa, utrzymując, że naznaczenie poboru opłaty sprzeciwia się prawu o t. z. rękojmiach papiestwa.

**Szkoły.** Z dniem 1-ym października r. b. kursy akuszeryi dla włościanek w Instytucie położniczym przy szpitalu Dzieciątka Jezus, odbywać się będą według nowo-opracowanego przez władze lekarskie szerszego programu.

— Szkoła ogrodnicza w Częstochowie otwarta będzie w kwietniu, kurs teoretyczny całkowicie, zamiast w miesiącach zimowych, w ciągu wiosny i lata ukończony będzie. Dotąd zapisało się około 100 kandydatów, wieku od 14-tu do 32 lat z rozmaitemi kwalifikacyami, poczynając od świadectw dwuklasowych do patentów dojrzałości.

— Profesorem nadzwyczajnym terapii i patologii w uniwersytecie warszawskim mianowano d-ra med. Dobroklońskiego, dotychczasowego docenta wojennej Akademii lekarskiej w Petersburgu.

— Kurator kazańskiego okręgu naukowego ogłasza w dziennikach, że odroczenie służby wojskowej do 24 roku życia, służy również dla wychowańców szkół przemysłowych, tudzież średnich technicznych, jeśli złożą deklaracyę, że pragną skończyć te szkoły.

— P. Gardzińska otrzymała pozwolenie na założenie szkoły ogrodniczej w Łomży.

— W Niemczech zawiązało się stowarzyszenie, mające na celu agitacyę za utrzymaniem dotychczasowego kierunku klasycznego w gimnazyach, wbrew reformom Wilhelma II.

— Gossler postanowił popierać zaprowadzenie na uniwersytetach pruskich ćwiczeń gimnastycznych.

— Uporządkowany gabinet geologiczny przy uniwersytecie krakowskim liczy przeszło 20,000 okazów.

**Zdrowie publiczne.** Z polecenia inspekcyi, wszystkie szpitale warszawskie, w których dokonywane były próby leczenia za pomocą płynu Kocha, przygotowują [illegible]

...ach tych prób, które następnie w całości przedstawione będą departamentowi lekarskiemu.

— W Białymstoku szerzy się ogromnie dyfteryt i zabiera liczne ofiary. Uwolniono wszystkie uczenice instytutu panien, gdzie 16 elewek jest chorych. Najwięcej jest chorych śród młodzieży, zamieszkującej okolice rzeki Białej oraz stawu miejskiego. Z tego powodu zwrócono się do rządu z prośbą o pożyczkę 15,000 rs. na oczyszczenie stawu.

— Z Tobolska telegrafują, że w jurtach samojedów w pobliżu Obdorska szerzy się czarna ospa.

**Przemysł i handel.** W sferach decydujących postanowiono zastosować system warrantów w przemyśle żelaznym.

— Ministeryum dóbr państwa opracowało projekt przepisów wymierzonych przeciw niszczącemu eksploatowaniu kopalni węgla.

— Sfery rządowe zajęły się sprawą ograniczenia ...wozowego i wywozowego zagranicznego przez po...inlową część kraju Ussuryjskiego, gdzie panuje monopol pewnej firmy hamburskiej, co wpływa niekorzystnie na rozwój handlu ruskiego.

**Rolnictwo.** Ministeryum dóbr państwa w r. 1887 zaprojektowało bezpośrednią dostawę zboża do magazynów intendentury przez obywateli ziemskich, bez pośrednictwa liwerantów, dostawców i faktorów. W tym celu wyjednano u władz wojskowych sposobem próby ogłoszenie bezpośrednich zapotrzebowań zboża w okręgach: wileńskim i kijowskim. Ponieważ próby te nie dały pomyślnych rezultatów, władze powyższe ograniczyły je. Obecnie departament postanowił zbadać przyczyny niepowodzenia i wezwał wszystkie kółka rolnicze i stowarzyszenia, którym proponowane były dostawy, o wyjaśnienie powodów odmowy.

**Bibliografia.** W. Wysocki, *Oksana*, str. 72, Kijów i Odessa. (Jest to cały ów piękny poemat, którego połowę drukowaliśmy w *Prawdzie*).

— M. Gawalewicz, *Drugie pokolenie*, powieść tomów dwa. Warszawa, Gebethner i Wolff.

**Zmarli.** Franciszek Streitt, malarz polski, w Monachium.

— Agnieszka Baranowska, w Poznaniu, autorka kilku dzieł.

— Diez Fehringer, poeta ludowy niemiecki, w Monachium.

— Salomon Handorf w Kassel, najstarszy z dziennikarzy niemieckich (ur. w r. 1801).

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Panu I. K. w Rudzie P.* Dzięki.

*Panu I. B. w Czerwonym Dworze.* Możliwość wydania tej książki bardzo niepewna.

*Pani S. W.* Wątek pospolity, forma powszednia.

*Panu I. A. Niem w Mos.* Dziękujemy tembardziej, że rzadko kto działalność naszą tak właściwie nietylko ocenił, ale i zrozumiał.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 28 Декабря 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.